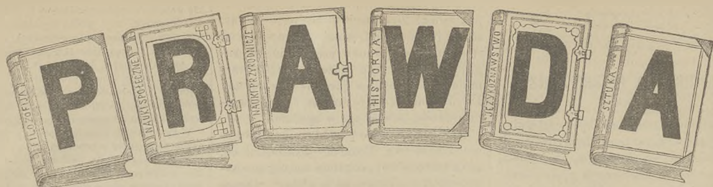
Nr. 42 Warszawa, dnia 5 (17) Października 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

UROCZYSTOŚCI FRANCUSKIE.

Pisząc w nr. 36 *Prawdy* o podróży Najjaśniejszych Państwa za granicę, wyraziliśmy przypuszczenie, że „szczytu objawów zapału dosięgnie niezawodnie Francya.“ Rzeczywiście zgotowała ona swym Drogim Gościom przyjęcie niesłychane i niepamiętne w historyi tego rodzaju odwiedzin. Od połowy kanału La Manche, gdzie eskadra francuska spotkała Parę Monarszą, jadącą z Anglii, aż do Châlons, gdzie armia francuska pochyliła swe sztandary przed Cesarzem Rosyjskim, podróż ta była jak gdyby tryumfalnym pochodem, nieprzerwanym łańcuchem coraz bardziej uniżonych hołdów i coraz goręcszych wylewów zachwytu, uwielbienia i miłości. Kulminacyjny punkt uniesień przypadł naturalnie w Paryżu, dokąd pociągi kolejowe przywiozły po zniżonych cenach biletów około miliona osób ze wszystkich okolic Francyi. Na co tylko bogata pomysłowość Paryżan w uświetnieniu przyjęcia zdobyć się mogła, na to się zdobyła: efektowne przystrojenie ulic i gmachów, różnobarwne światła, muzyka grająca ustawicznie oba hymny narodowe, bramy przybrane kwiatami, wymowne godła i symbole, a na tem tle niemilknące okrzyki pozdrowień, dziękczynień, adoracyj i radości. Jeżeli pobytowi Najjaśniejszych Państwa w Austryi, Niemczech i Anglii towarzyszyła z wielkim przepychem rozwinięta uprzejmość dworów, to we Francyi zamieniła się ona na uroczystość ogólną narodową; a jeśli polityczno-uczuciowy nastrój narodu tworzy kiedykolwiek zupełną harmonię, to osiągnął on ją w tej wyjątkowej manifestacyi. Nietylko bowiem sfery urzędowe i przedstawiciele żywiołów, stanowiących główne dla tych sfer oparcie, ale nawet pierwiastki, oddzielone od nich przekonaniami, złączyły się z innymi w powszechnym hołdzie. Nietylko prezydent, ministrowie, możnowładztwo, mieszczaństwo, ale także lud miejski i wiejski, republikanie radykalni — wszyscy rzucili swe serca i umysły pod stopy Pary Monarszej. Brisson, Katon republikański, powitał Cesarza Rosyjskiego entuzyastyczną mową, F. Coppée — natchnioną odą, S. Proudhomme — alegorycznym hymnem, E. Legouvé — uniżonem podziękowaniem za zaszczyt odwiedzenia Akademii, a tłum krzyczał na ulicach: „Witaj zbawco!“ lub błagał o powrót.

Te wybuchy zachwytu i wdzięczności, których tu nawet w najogólniejszym obrazie przedstawić nie możemy, brzmią jeszcze dotąd w głośnych echach, chociaż Najjaśniejsi Państwo w sobotę opuścili Francyę, udając się do Darmsztadu. W czasie tak nawskroś politycznym, jak nasz, musiało zwłaszcza interesowanym świadkom tej manifestacyi nasunąć się pytanie: czy ona jest jedynie odbiciem uczuć, wiążących dwa narody, czy też wyrazem ściślejszego sojuszu, łączącego dwa rządy? Innemi słowy: czy pomiędzy Francyą a Rosyą istnieje już jakiś układ spisany (na podobieństwo austro-prusko-włoskiego trójprzymierza), czy też tylko nieujęta w żaden papier, z uczuć, nie z artykułów spleciona przyjaźń? Kwestyę tę od dwu tygodni rozbiera szczególnie prasa niemiecka, która jednakże nie może w niej wyjść po za domysły. Trudność wysnucia jakiejś hypotezy polega głównie na tem, że Francya nie posiada w swym rządzie ani jednego czynnika stałego, tylko czasowe, począwszy od prezydenta Rzeczpospolitej, a skończywszy na merach i prefektach, że więc z takim rządem ruchomym, zmieniającym się już nie w ciągu lat, ale tygodni, prawie niepodobna zawierać umów; obliczonych na dłuższe trwanie. Jest to prawda, ale z drugiej strony zdaje nam się, że prasa europejska, uganiająca się ciągle za połowem dokumentów, zbyt przecenia znaczenie i wartość użytkową sojuszów formalnie spisanych, a zbyt lekceważy siłę interesów i uczuć międzynarodowych. W polityce, również jak w życiu prywatnem: pewniejszym jest przyjaciel od kontraktowego wspólnika, a kochanek — od przyjaciela. Powiemy nawet, że ta reguła zachowuje jeszcze większą moc w polityce, bo po złamaniu kontraktu strona pokrzywdzona nie pozywa krzywdzącej do sądu, nie dochodzi na niej szkód i strat, lecz znosi je w milczeniu, zadawalając się teoretyczną zemstą w organach swej prasy. Waga międzynarodowego stosunku spoczywa nie w kawałku zapisanego papieru, który zawsze jednostronnie unicestwić można, ale w pewności wzajemnych sympatyj i usług. Otóż chyba ostatnie uroczystości francuskie przekonały dowodnie, że Francya związała się z Rosyą bardzo ścisłem przymierzem, które będzie długotrwałem i wpływowem, chociażby nawet nie zostało obwarowane żadnym aktem formalnym. Z tym wypadkiem zarówno mężowie stanu, jak narody odtąd poważnie muszą się liczyć i wprowadzać go do wszelkich swoich rachub politycznych. Nabiera on zaś szczególnego znaczenia w chwili, gdy trójprzymierze, dzięki improwizowanej, wybrykowej i bezmyślnej dyplomacyi niemieckiej, zaczyna się rozklejać.

POLITYKA.

ROSEBERY NA EMERYTURZE

Niemało zdziwieni byli czytelnicy gazet porannych londyńskich d. 8 b. m. znalezionym w nich listem przewódcy liberalnych gladstończyków. W liście tym, wystosowanym do naganiacza (*whipper*) stronnictwa, Mra Ellisa, lord, więcej z dobroci, niż z rozumu, znany, zrzeka się zaszczytu przewodniczenia swym współwyznawcom politycznym w Izbie gmin. Zaczyna od generaliów. Bieg najnowszych wypadków wymaga oczyszczenia powietrza. Lord osobiście znajduje się w rozdźwięku z gromadą, do której należy. Na sprawy wschodnie patrzy inaczej, niż gromada — inaczej zwłaszcza, niż Gladstone, który zawsze jeszcze na stronnictwo wpływ wywierać musi. Nikogo prawie nie ma Rosebery za sobą. Wypada mu teraz mówić publicznie — chce mówić jako człowiek wolny, a do tego potrzebuje zrzec się przewodnictwa: usuwa się zatem i dziękuje tylko tym, którzy go dotychczas popierali.

Ludzie, czerpiący stale wodę bieżącą z rzeki wypadków politycznych, wiedzieli, że byłego przewódcę gladstończyków dotknąć musiały zaczepki prasy liberalnej; ale nie przypuszczali, żeby rana tak głęboką być mogła. Prócz tej rany istotnie było jeszcze i coś więcej: zupełna niewiedza i nieradność, którą ścieżką przy rozwiązywaniu sprawy wschodniej — przez opinię angielską, pójść. Lord, przypominając zaręczenie z d. 9 sierpnia 1895 r. — nie dowiódł bystrości umysłu; zwalczając zalecone przez Gladstone'a oderwanie się Anglii od koncertu stambulskiego, nic powiedział, co robić; zwalając na zachowawców odpowiedzialność za zgniłe owoce, zerwane z drzewa energii politycznej angielskiej — nie miał szczerego przekonania, czyby liberalni wyhodowali lepsze, jako tako zdrowe i pożywne. A ponieważ jest człowiekiem uczciwym, więc czując, że nic już nie zrobi, wolał się zupełnie od robót usunąć i do mów przerzucić. W Anglii i to robotą być może — ale już brzemieniem nie jest, w jarzmie nie trzyma. I z sumieniem, i z rozumem, i z odpowiedzialnością łatwiej żyć w zgodzie.

Był jeden jeszcze powód: niezadowolenie stronnictwa. Rosebery dowiedział się, że Gladstone'owi proponowano objęcie napowrót steru. Dojęło go to głębiej, niż sarkazmy i krytyki *Daily Chronicle*. Jeżeli jeszcze mógłby pozostać, to tylko poddawszy się nowemu wyborowi. Usunięcie się w każdym razie z tej strony szczerem być musi; zarówno rozsądek, jak godność je nakazywały. *Daily News* domaga się ponownego wyboru. Coby Gladstone mógł dziś dać lepszego, niż Rosebery? Czy ma za sobą naród cały? Nie, nie ma nawet całego stronnictwa. Serce dla Ormian lord z Dalmeny ma; dowiódł tego w marcu w klubie osiemdziesięciu (*Eighty*, roku 1880). Ostatecznie, jeśli Gladstone chce wrócić, niech wraca; w przeciwnym razie Roseberemu dać votum zaufania, i niech nadal rządzi.

Ostatecznie, z Gladstonem czy z Roseberym, pod rządami zachowawców czy liberalnych — na wierzch wyłazi nędza. Rząd wielkiego narodu, sam wielki naród, najwytrwalej na widowni międzynarodowej występujący — nie ma własnej polityki, i będąc wielkiem mocarstwem, nie może myśleć i chcieć jak mocarstwo. Przedwczesne były doniesienia gazeciarskie o osiągniętem już porozumieniu; ale nieporozumienie niczem światu nie grozi. Na silne gniewy już Anglię nie stać. Zapracowała sobie na odosobnienie, straciła z oczu swe cele. Jest wielką kompanią handlowo-polityczną, uganiającą się za zyskami. Będzie je też miała i z rozwiązania sprawy wschodniej — tylko nie ona ją rozwiąże.

Tydzień polityczny. Cesarz Wilhelm w Hubertusstoku złożył d. 7 b. m. wielką radę koronną. Dzienniki przypominają, że takie rady poprzedzały zwykle ważniejsze postanowienia; w r. 1890, gdy odchodził Bismarck, w r. 1892, gdy szedł precz Zedlitz, w r. 1894, gdy rozstawał się cesarz z Caprivim. Teraz kolej chyba na Hohenlohego, *Vossische Ztg.* rzuca też taki domysł. Kanclerz jednak ma siedzieć silnie w siodle, choć i procedura wojskowa znowu mętnieje i kierunek rządu nie zawsze odpowiada oczekiwaniom. Z choroby swojej już się Wilhelm II wydobył. Sejm niemiecki niedługo się już zbierze.

W Przedlitawii prawdopodobnie p. Badeni skończy na tem, od czego powinien był po reformie wyborczej zacząć. Rada państwa będzie rozwiązaną. Dla uchwalenia budżetu możeby się jeszcze większość znalazła, ale o uchwaleniu ugody z Węgrami po rozwiązaniu sejmu węgierskiego, po mowach i manifestach przedwyborczych mówić nie można w dzisiejszej radzie. Wskazówki poważne pozwalają przewidywać rozwiązanie z wyborami w listopadzie.

Francya z Włochami zawarła traktat handlowy dla stosunków w Tunetanii. Akt ten nosi datę 30 września. Gadatliwe dziennikarstwo przewiduje już nadwątlenie potrójnego przymierza. Włosi utrzymali dotychczasowe swoje przywileje; ocalili istnienie i zarząd licznych stowarzyszeń, ocalili i charakter strony mającej prawo do płacenia ceł jaknajniższych.

Na Madagaskarze gen. Galliani robi już umyślne wyprawy na usiłujących z pod świeżego jarzma wydobyć się krajowców.

Na Kubie nie było żadnego zwycięstwa Kubańczyków, ale nie było też i rozpraw większych, a dla rządu pomyślnych. Deszcze obecne utrudniają działania większe; w listopadzie chce się Weyler wziąć ostro do roboty. Powstańcy mają jakoby 40,000 ludzi i własną już artyleryę — dzięki Stanom Zjednoczonym.

W Turcyi sułtan żeni syna swego z księżniczką bawarską. Szkoda, że nie z brazylijską. Słynna komisya śledcza jakoś śpi. Sąd karny nie wydał jeszcze wyroku na 26 sierpnia. Karateodory-basza został pierwszym sekretarzem sułtana. Bije od niego już łuna nowej ery — dla dziennikarzy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DROŻYZNA WYCHOWANIA.

Do ciężarów obarczających społeczeństwo przybył w ostatnich czasach najdotkliwszy: koszt wychowania szkolnego. Najdotkliwszy — bo

---

2)

Stefan Żeromski.

„T A B U."

Zwolna wzrok nieszczęśliwej przeniósł się na murawę przydrożną. Niezliczone mnóstwo połyskujących źdźbeł usiłowało wtargnąć na szosę, wedrzeć się na pokład ubitych kamieni. Pani Ewa myślała przez chwilę, krótką jak mgnienie oka, o miękkich korzeniach tych roślinek, które tam w głębi gruntu macają pracowicie ostre kanty potłuczonych kamieni, wtłoczonych w glebę, niestrudzenie roją się pod stopami idących w poszukiwaniu dróg swych i pokarmu. Za rowem były mokre łąki. Deszcze wiosenne zostawiły na nich płytkie jeziorka granatowej wody, rozlane tu i owdzie. W tych smugach kąpały się długie, jasnożółte zagony jaskrów, na miejscach suchych, pod cieniem leszczyn, widniały bladoniebieskie przylaszczki. Naokoło lśniły się w słońcu młode, hajdamackie trawy. Zbolałe oczy pani Ewy, błąkając się bezwładnie po miękkich kępach ziół najbliższych — zbierały z nich i wnosiły do duszy jakiś kordyał przedziwnie uzdrawiający.

— Jakżeście wy szczęśliwe, jakżeście wy szczęśliwe... — mówiła cicho.

Jasna zieloność i niezmierna rozmaitość kształtów, miękkość szerokich, soczystych liści i rytmiczne pochylanie się od wiatru wysokich słupków — działały na duszę pani Ewy tak kojąco, jak niektóre soki traw, niweczące działanie zabójczych trucizn. Przedewszystkiem jednak litował się nad nią ciepły i pachnący wietrzyk polny. Podlegała złudzeniu, że ten chyży wędrowiec opuszcza dla niej wysmukłe trawy, że sfruwa z kwiatów pachnących najbardziej, ażeby ją owiewać i pieścić, ażeby wysysać pot z jej czoła, wchodzić do płuc, dotykać nerwów i w głębiach duszy, nad rozszalałymi nurtami rozpaczy wołać swym słodkim głosem: — rozkazuję ci, ucisz się burzo!..

Po prawej ręce od gościńca szła wpoprzek łąki wąska dróżka. Wyżłobione jej koleiny ledwo było widać pod krótką, kędzierzawą wełną trawy. W tamtą stronę właśnie pofrunęła pliszka. I pani Ewa udała się za nią w tamtą stronę, niby przez sen wiedząc, że nie idzie ku stacyi kolejowej. Jak długo szła — nie umiałaby również powiedzieć. Wstrzymała się wówczas dopiero, gdy jej drogę zastąpił staw dosyć szeroko rozpostarty. Weszła na groblę, obrosłą wysokiemi trawami, przy drugim końcu której widać było szeroki, czarny dach młyna schowanego za groblą i kępami gęstych zarośli. Tuż obok stały istne gaje trzcin zeszłorocznych, martwo żółtych i wydających jakiś pogrzebowy szelest za najlżejszym powiewem wiatru. W bliskości tych badylów, które panią Ewę raziły, jak wspomnienie cmentarza, wystrzelały z wody pierwsze pędy tataraków. Przy nich na płytkiej wodzie tarły się w słońcu ryby — i co chwila zarówno kiście zeschłych trzcin, jak młode sitowia wstrząsały się i drżały, jakby od miłosnego dreszczu. Daleko w trzcinach słychać było słodkie okrzyki małych ptaszyn, które sfruwały ze swych miejsc, wzbijały się w górę i spadały znowu między krzewy. Po wierzchu wody biegały między drobnomi falami blaski słoneczne. Można było sądzić, że i one drżą z jakiegoś powszechnego wzruszenia. Pani Ewa usiadła na ziemi i wkrótce poczuła tak wielkie znużenie, jakby bez przerwy szła dziesiątki mil. Po ciele jej przebiegało jeszcze od czasu do czasu wstrząsające westchnienie, ale myśli i uczucia daleko od rzeczywistego nieszczęścia odleciały. Widziała

jego wzrost bezustanny niema granic. Obecnie prasa rosyjska, a raczej ogół za jej pośrednictwem, skarży się na to i podaje rachunki wymowne. Jakiś skromny urzędnik biada, że ze swojej pensyi, wynoszącej 600 rs. rocznie, łoży prawie trzecią część na wychowanie syna; mianowicie— opłata wpisowa wynosi 50 rs., książki 10, wszelkie drobiazgi szkolne (ołówki, kajety, pióra itd.) 6., ubranie 25, śniadanie w szkole 7, korepetytor 72, wydatki nieprzewidziane 6, razem 176 rs. Z tego powodu miesięcznik *Obrazowanie* poświęcony sprawom pedagogicznym, utyskuje na wzrost opłaty wpisowej. Istotnie, jeżeli sięgniemy pamięcią do niezbyt odległej przeszłości, to się przekonamy, że w ciągu lat piętnastu opłata owa podwoiła się, a nawet potroiła niemal we wszystkich zakładach naukowych, wyższych i średnich. Tam gdzie dawniej prawo korzystania z nauki kosztowało 50 rs., dziś kosztuje sto, gdzie 20, obecnie 40 lub 60. Jednocześnie wzrasta również wydatek na książki, z powodu częstej zmiany podręczników. Ponieważ wogóle skutkiem różnorodnych czynników ekonomicznych zwiększył się koszt utrzymania ludności, więc i wszelkie pozycye szkolne wzrosły także: Odzież uczniowska jest znacznie droższa, komorne wyższe, a ponieważ obecny system szkolny wymaga jeszcze dodatkowej pomocy nauczycielskiej w domu, więc stosunkowo bardzo mały jest procent uczniów, którzy nie potrzebują korepetytora.

Koszt wychowania syna urzędnika, powyżej podany, stosunkowo jest dość skromny; znamy rodziców niezamożnych, mieszkających w mieście, którzy łożą na wychowanie swych dzieci najmniej po 200 rs. rocznie. Wyobraźmy sobie teraz położenie ojca, zajmującego pod względem dochodów stanowisko średnie, tj. pobierającego 1,000—1,200 rs. rocznie, który ma w szkołach trzech synów. Jeżeliby nawet wychowanie każdego z nich kosztowało po 150 rs., to już w budżecie rodziny wytworzy się poważna suma 450 rs., tj. dorównywająca niemal połowie zarobków. Są wszakże i tacy, którzy wychowują naraz czworo lub pięcioro dzieci, tj. mają synów i córki w szkołach. Oczywiście przy dochodach 1,000—1,200 rs. byłoby to niemożliwe, gdyby nie okoliczności wyjątkowe, jak zdolność dzieci, ułatwiająca zdobycie stypendyów, albo praca zarobkowa samych uczniów, trudniących się korepetycyami, co wszakże nie wpływa dodatnio ani na ich zdrowie, ani postępy.

Mówimy tu o wychowaniu najniezbędniejszem, prowadzącem do pozyskania świadectwa szkolnego. Rodzice ubodzy, zdobywając przebojem szkołę dla swych dzieci, mają na myśli jedno: ułatwienie im bytu na przyszłość. Szkoła zatem, jako źródło oświaty, ma dla nich podrzędne znaczenie, a jest tylko celem pożądań, jako środek pozyskania pracy zarobkowej, umożliwiającej istnienie materyalne. Tacy nie marzą już wcale o wychowaniu „zbytkownem," tj. dodatkach poza szkolnych, jak: muzyka, języki, nauki przyrodnicze itd., bo to nie setki, ale tysiące rubli pochłania.

Przy tych jednak ciężkich warunkach wychowania, przy ciągłem borykaniu się z trudnościami i niepowodzeniem, ludność miejska, szczególnie zaś wielkomiejska, ma jeszcze względnie ułatwione wychowanie, bo chociaż troje i nawet czworo dzieci chodzi do szkoły, mieszkają wszakże pod jednym dachem i przy wspólnym stole jadają. Stokroć gorsze jest położenie mieszkańców wsi, którzy dla swej dziatwy poszukują szkół w miastach odległych. Koszt wychowania ucznia tej kategoryi najskromniej wynosi 300 rs. rocznie, a bardzo często dosięga 500. Cóż począć w takim razie, jeśli trzech synów idzie trzema odmiennemi drogami? Jeżeli np. jeden musi pojechać do miasta X, gdzie jest szkoła techniczna lub technologiczna, drugi do Y, gdzie jest zakład agronomiczny, wreszcie trzeci do Z, gdzie jest gimnazyum? Prawda, że wielkie miasta są zazwyczaj ogniskiem szkół wszelkiego typu, więc gdzie jest uniwersytet, tam można znaleźć i gimnazyum i szkołę techniczną lub agronomiczną. Ale nie zapominajmy, że wstęp do szkół, szczególnie średnich, zupełnie jest zależny od przypadku lub szczęścia. Ojciec rodziny, mieszkający np. w Warszawie, może się znaleźć w takiem położeniu, że będzie musiał syna swojego oddać do szkoły realnej we Włocławku, pomimo że drugi uczęszcza do takiejże szkoły w Warszawie. Podobny wypadek zupełnie jest możliwy, a nawet w życiu nie należy do przykładów urojonych wobec braku miejsca w szkołach i nadmiernego napływu kandydatów.

Widzimy tedy, że na drożyznę wychowania szkolnego wpływa kilka zasadniczych warunków: 1) wygórowane wpisowe, 2) częsta zmiana i wysokie ceny podręczników, 3) system szkolny, zmuszający do poszukiwania domowej pomocy nauczycielskiej, 4) przepełnienie szkół i ich niewielka liczba w stosunku do potrzeb, 5) ogólna zmiana warunków ekonomicznych, wpływająca na podrożenie utrzymania.

Środki przeciwdziałania w pewnej mierze są możliwe, jeżeli będą oparte na reformie czterech pierwszych warunków. Z drugiej strony pożądane byłoby zniżenie kosztów utrzymania za pośrednictwem przedsiębiorczości zbiorowej. Wszelkie stowarzyszenia za granicą, a poniekąd i u nas, dążą do zdobycia tanich środków bytu. Młodzież szkolna miewa również ustępstwa, ale noszą one charakter przygodny i w większości są tylko pozorne. Tania odzież, wikt, mieszkanie — to są główne potrzeby, dające się ogarnąć taką zaradnością zbiorową, wykluczającą wszelką spekulacyę. Dopóki tego rodzaju pomoc nie wyjdzie ze społeczeństwa, dopóki ułatwienie wychowania dziatwy i młodzieży niezamożnej będzie należeć do miłosierdzia, na równi z rozdawaniem jałmużny ubogim, póty ogół nie poczuje istotnej ulgi, a nauka szkolna będzie ciernistą drogą, pokropioną częstokroć nietylko potem, lecz i łzami rodzicielskiemi. Może kiedyś nasze przyszłe pokolenia,

---

dokoła siebie ustromy kąt, zarośla i wodę, ale dalej, niejako za temi wszystkiemi zjawiskami spostrzegała wyraźnie inną dziwną jawę. Zdawało się jej, że wie doskonale, dlaczego to wszystko tak się odbywa, a nie inaczej, że przenika każdą rzecz i obejmuje drzemiącem spojrzeniem wszystko, aż do ostatecznych granic.

— Jakie to wszystko bezlitosne, jakie to zimne, jakie to nieubłagane... — szeptała, patrząc w przestrzeń, zasłaną krzewami, które wydawały się podobnemi z oddali do chmurek mgły zielonawej. Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się stoczyła w wodę i utonęła, pożarłyby mię raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi — szłaby tak samo dla innych...

Po chwili, wzdychając gorzko, znowu mówiła do siebie:

— Kto upada, ten ginąć musi. Śmierć przychodzi do nas nie z pompatycznym mieczem, nie ze zdradzieckim sztyletem, ale z brutalnym żegadłem rzeźnika. Z uśmiechem zabija według praw swoich, według swego obrachunku... Niemasz litości w tem wszystkiem... Och, a czemuż my ją czujemy, po co i na co?..

Po chwili, głucho płacząc, osunęła się twarzą na ziemię. Bardzo długo leżała tak rozbita w sobie i jakby unicestwiona. Dopiero świst jakiegoś pociągu, zdaleka przebiegającego równinę, obudził ją i przywołał do rzeczywistości. Wstała z pośpiechem, oczyściła suknię i coprędzej udała się w stronę dworca, którego czerwona dachówka jaskrawo widniała na horyzoncie. Gdy zdyszana od prędkiego chodu przebiegła dworzec i znalazła się na peronie w celu zasięgnięcia wiadomości, kiedy najbliższy pociąg odchodzi do miasta, zobaczyła „tego pana" Stał oparty o żółte sztachety, miał jak zwykle oczy spuszczone, a jednak widzące każdy szczegół, i uśmiechał się po swojemu. Gdy weszła na peron, raz tylko podniósł na nią oczy, ale ona zrozumiała natychmiast ich wyraz, mówiły bowiem do niej jaśniej, niż słowa: — jeżeli chcesz, ażebym się oddalił, zniknę niezwłocznie...

„Ten pan" był rysownikiem w pewnem biurze technicznem. Pani Ewa już dawno, jeszcze przed chorobą męża, spotykała go na swej drodze, ale nie był jej osobiście znany. Wychodząc z fabryki wieczorem dostrzegała go już to ukrytego na ustronnej ławce, między krzewami skweru, już przesuwającego się obok muru sąsiedniej ulicy. Wiedziała od pewnej przyjaciółki, że jest to bardzo porządny, „społeczny" facet, wiedziała również — już nie od przyjaciółki, ale z własnego instynktu, — że on zna całe jej życie, czytała nieraz w przelotnych błyskach jego spojrzeń, jak się czule nad nią lituje, czy może — jak bardzo ją kocha. Ceniła to w nim, że nie szukał znajomości, ażeby jej nie podawać na ludzką obmowę, że poprzestawał na krótkich widzeniach zdaleka jej osoby raz na dobę, czasami raz na dwa i trzy dni...

Wszystko to zresztą poszło w absolutne zapomnienie czasu okropnej niedoli, odkąd Henryk Dąbrowski dostał pomieszania zmysłów. Żyła wówczas w tak wielkim upadku ducha, że każda myśl weselsza napawała ją zabobonną trwogą i była powodem bolesnych wyrzutów sumienia. Zdarzało się jej spotykać wówczas nieznajomego pana, ale nie umiałaby rzetelnie odpowiedzieć, czy to było we śnie, czy na jawie. Wiedziała, tylko, że był jej miły, jako wspomnienie najlepszych dni życia, kiedy jeszcze i nad nią słońce świeciło.

Spostrzegłszy go na dworcu, cofnęła się zaraz do poczekalni stacyjnej, kupiła bilet i usiadła na drewnianej ławce. Przez okno widziała młodego człowieka. Stał, jak przedtem, trzymając w ręce duży bukiet bladoniebieskich przylaszczek i spoglądał

badając warunki bytu doby dzisiejszej, postawią rodziców ubogich i ich dziatwę kształcącą się na piedestale, przeznaczonym dla bohaterów. Bo istotnie, odejmować sobie od ust kawałek chleba suchego, odmawiać nieraz lekarstwa dla poratowania zdrowia, starganego pracą nadmierną; poświęcać wolne chwile wieczorów i nocy na pracę dodatkową, ażeby zwiększyć środki, umożliwiające wychowanie dziatwy, nie ustawać w wysiłkach nadludzkich bez względu na stan zdrowia i wiek, wreszcie umierać czasem z wyczerpania ostatnich sił, dlatego tylko, ażeby ukochanym naukę uprzystępnić; z drugiej strony młodociany umysł, przeciążony pracą szkolną, obarczać częstokroć jeszcze zarobkową, korepetytorską, głodzić się po całych dniach i niedosypiać nocy, w okresie kiedy organizm rozwijający się wymaga jak najlepszego odżywiania i jak najmniej wysiłków — czyż to wszystko nie jest niezmierzonem bohaterstwem, i to rozpiętem na dramatach życiowych?

MIĘDZYNARODOWY WIEC KOBIECY W BERLINIE.

Berlin, 2 października.

O Niemcach ktoś powiedział, że chcąc wprowadzić w życie jakąkolwiek ideę, pielęgnują ją w głowie przez lat dziesięć, przez następne dziesięć tuła się ona w sferze piśmiennictwa, w przeciągu zaś trzeciego dziesięciolecia wykluwa się stopniowo jako czyn. Zdaje mi się, że gdy mowa o Niemkach, należy dołączyć jeszcze jedno dziesięciolecie dla dania zajęcia językowi. W niczem lepiej nie ujawnia się niemoc, tchórzostwo, filisterstwo i niezaradność niewiasty niemieckiej, niż w opłakanym losie ruchu kobiecego. Całe stosy bibuły drukowanej poświęcono tej kwestyi. Najlepsze siły inteligencyi zabierały głos i rozprawiały szeroko u głęboko, istnieją o niej w języku niemieckim wyczerpujące prace, jakiemi nie może się chyba poszczycić literatura żadnego narodu, a jednak ruch kobiecy w Niemczech nie może wyjść z błędnego koła myśli i słów. Od roku prawie sprawę wytoczono przed forum publiczne. Odbył się głośny kongres, odbyły się zebrania publiczne i wreszcie zdobyto się na zwołanie międzynarodowego wiecu. Chciano pokazać mężczyznom siły bojowe armii kobiecej w pełnym rynsztunku; chciano dowieść, iż obóz jej potrafi zorganizować międzynarodowy parlament, który odważnie rzuci swą rękawicę fanatycznym wrogom emancypacyi. Z tego punktu widzenia kongres udał się bezwarunkowo. Do tysiąca uczestniczek obradowało codzień w sali ratuszowej nad ruchem kobiecym i zawodami kobiecymi. Zapuszczano się w najrozmaitsze kwestye, debatowano nad najbardziej ogólnemi rzeczami, starano się dotrzeć do dna każdego przedmiotu i uchwycić przyczyny klęsk kobiecych. Referentki przemawiały w dodatku pięknie i logicznie. Nie obeszło się oczywiście bez kilku śmieszności. Tak np. jedna pani, która początkowo wyrzekła się głosu wskutek niemożliwości poruszenia kwestyi religijnej, zmęczyła jednak zebranie 15-minutową mową, w której zalecała swój nieśmiertelny dramat za 60 fenigów. Niektóre mowy były nad wyraz nudne i jałowe, niektóre panie mówiły ni w pięć ni w dziewięć, racząc zebranie wszystkiem, co wiedziały i czego jeszcze nie przetrawiły. Niektóre wdawały się w drobnostki, mówiły o robótkach, o historyi robótek, o nauczaniu robótek w szkołach i innych tego rodzaju interesujących przedmiotach. Były to jednak wyjątki i niezbędne akcesorya każdego kongresu. Wogóle zaś krasomówstwo kobiet święciło prawdziwy tryumf; panie dowiodły, iż są zdolne do prowadzenia rozpraw objektywnych i radzenia nad rzeczami najwznioślejszej natury. Zwłaszcza przeciwniczki emancypantek mieszczańskich, pani Lily Braun (z pierwszego małżeństwa Giżycka) i pani Zettkin swemi pięknemi mowami wystawiły chlubne świadectwo parlamentarnym kwalifikacyom kobiety. Cała prasa — co dla tej wieży Babel jest rzadkim wypadkiem — jednomyślnie oklaskiwała kongres. Lecz wbrew tym kadzidłom, w których tkwi spora doza bezmyślnej grzeczności kastraty umysłowego, jakim jest średni dziennikarz, należy przyznać, iż bajeczna obfitość mów, niesłychanie długie obrady, trwające aż siedem dni, rzucają pewien cień wątpliwości na działalność kongresu.

Gromkie owacye tylko wtedy mają wartość, gdy towarzyszą im wielkie czyny. Ubóstwo działalności kobiet niemieckich w porównaniu z ich obszernemi rozprawami rzuca się w oczy. Kobiety niemieckie powinny były przekonać się, iż dotychczasowe środki ich działania chybiały celu, a najgłośniejsze wołania były głosem na puszczy. Nie potrafiły zwerbować do swych zastępów bojowych mas, któreby imponowały swą potęgą. Rozproszone kółka, na których się miele trociny frazesów i których jedynem świadectwem życia są herbatki, połączone z pogadankami, nie wywierają wpływu na społeczeństwo. Setki petycyj, nadsyłanych do parlamentu, wędrują podług pięknego zwyczaju do kosza sejmowego. Próbowano szukać poparcia u osób dostojnych. Przekonano się, iż łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Pozostało jedno: apelować do mas kobiecych. W imię zasady: *flectere si nequeo superos Acheronta movebo*, należało budzić świadomość kobiet z ludu i przekonać je o potrzebie wydostania się z dusznej atmosfery, w której karłowacieje ich indywidualność. Należało za przykładem kobiet angielskich rozwinąć agitacyę na szeroką skalę, słowem, uchwycić się tych środków, jakie skutkują dziś w życiu społecznem Europy zachodniej, stworzyć zwartą protestującą masę kobiecą, głośno domagającą się swych praw. Do tego przekonania wzniosło się już kilka prowodyrek kobiecych, jak dzielna pani Stritt, założycielka biura obrony prawnej dla kobiet; pani Caner, która niegdyś oczkowała księżniczki i hrabianki, a dziś szuka zbawienia u pospólstwa, o czem świadczy założone przez nią stowarzyszenie pań sklepowych; pani Schwerin z „Towarzystwa etycznego“ i kilka innych. Najenergiczniej przemawiała pani Stritt, która wykazała, jak mało osiągnęły dotychczas kobiety niemieckie. Uniwersytety są dla nich prawie nietykalną świętością. W życiu politycznem znaczenie ich równa się zeru. Moloch rozpusty, toczącej organizm społeczny, pochłania co rok nowe ofiary niezliczone. Wreszcie na polu przemysłowem kobieta prowadzi zaciekłą walkę o swe utrzymanie, torując sobie drogę zwykle zniżaniem swych żądań i zagłuszaniem głosu swych potrzeb. Walka o byt pozwala jej prowadzić zaledwie nędzny żywot najmitki, wyczerpuje jej siły, a bardzo często spycha ją w przepaść prostytucyi. Panie Herman, Caner i Schlesinger roztaczały przed oburzonym areopagiem obraz martyrologii niemki pracującej. Średnia pensya sklepowej wynosi miesięcznie 45—50 marek (około

---

na te kwiaty. Później odszedł stamtąd i spacerował wzdłuż peronu. Wpatrywała się mimowoli w jego miękki kapelusz, oblany światłem słonecznem i doskonale harmonizujący z jasnemi włosami, obserwowała szykowne palto letnie, bukiet kwiatów, powolne, zgrabne ruchy i prowadziła oczyma każdy krok „pana.“ Wybuchy cierpienia spaliły całą głębinę jej duszy, napełniając ją zarazem niby gruzami i popiołem; dym jakiś owionął mózg, a serce nie literalnie czuć nie było w stanie.

Nadbiegł pociąg. Pani Ewa szybko wsiadła do wagonu i znalazła się w małym i zupełnie pustym przedziale. O minutę później wszedł tam jej wielbiciel. Usiadł w kącie i, jak przedtem, przypatrywał się swoim kwiatom. Pociąg ruszył natychmiast. Pani Dąbrowska, nie odwracając oczu od krajobrazu, przesuwającego się za szybą, trwała w swej nieczułości. Szybki bieg pociągu zdawał się ją unosić, unosić... Nierychło poczuła na sobie wzrok towarzysza drogi. Wiedziała, jak w owej chwili on patrzy na nią, czuła z jak rozszalałą niecierpliwością wyczekuje na jedno jej spojrzenie, doskonale pojmowała jego tęsknotę za taką chwilą od miesięcy, może od lat...

I nagle serce w niej drgnęło. Zapragnęła namiętnie spojrzeć na tego człowieka, zobaczyć jego twarz, oczy, uśmiech.

— Po co mam cierpieć, com winna? — spytała się buntowniczo.

Uczuła w sobie niechęć do wszelkich cierpień tak wielką, że gdyby tylko wstał, wziął ją w ramiona, oparłaby głowę na jego piersiach, wypłakała całe swoje nieszczęście i poszłaby z nim. Byleby tylko wyrwał z jej serca skrę boleści, który je toczył... Wszystek ziemski egoizm uderzył w nią: po cóż cierpieć, po co walczyć z koniecznością, której nic na ziemi nie przemoże?

Głowa jej, oparta o drewnianą deskę nad ławką, chwiała się bezwładnie do taktu z biegiem wagonu, na twarz wypełzał rumieniec, palący jak ogień...

Ażeby go ukryć, podniosła się z miejsca i stanęła w oknie. Zielone pola i łąki uciekały w dal niezmierną. Na horyzoncie widać już było tylko wysoki, czerwony komin szpitala obłąkanych. Z tego komina wydzielał się raz za razem bury kłębek dymu. Pani Ewa patrzała na ten dym uważnie i w łoskocie kół uderzających o szyny usłyszała znowu przeklęte słowa:

— „I być strażnikiem grobów, które proszą o łzy i miłość i być tylko cieniem...“

Rozeznawała treść tych słów ścierpłem sercem i słyszała nawet dźwięk ich bolesny. Nie był to jednak głos jej męża. Był to jakiś głos, niczyj. Usiadła na swem miejscu blada, z zaciśniętemi wargami. Opierając lewą rękę na ławce dotknęła bukietu przylaszczek. „Ten pan“ położył je obok miejsca, które zajmowała przed chwilą. Pani Ewa wzięła w ręce ten bukiet, trzymała go na kolanach i, spoglądając na listki tych nadobnych kwiatków, szeptała w myśli do siebie: — zapóźno, zapóźno... Długo tak siedziała zamyślona. Gdy wreszcie podniosła oczy — były bardzo smutne. Zwolna rozwiązała bukiet i z uśmiechem, co jak promień światła jej twarz rozjaśnił, upuszczała te kwiaty na podłogę małemi wiązkami, aż do ostatniej. Wówczas spojrzała na swego towarzysza i rzekła cicho, jakby usprawiedliwiając się i prosząc o przebaczenie:

— Mój mąż jest chory, coraz bardziej chory...

Młody człowiek siedział bez ruchu aż do najbliższej, towarowej stacyi pod samem miastem. Gdy pociąg się zatrzymał, spiesznie wyszedł z przedziału, zstąpił na rampę i ruszył prędko w stronę miasta. Pani Ewa długo jeszcze widziała jego jasne włosy i słyszała odgłos jego kroków głuchy, głuchy...

20—22 rubli); długo musi ona kołatać do serc chlebodawców, nim otrzyma posag. Cóż dziwnego, że zagrożona upiorem nędzy, przystaje na najhaniebniejsze warunki i wreszcie gotowa sprzedać swe wdzięki, aby tylko nie pozostać na bruku wielkiego miasta bez zajęcia. Otwarcie wyznała pani Caner (co inne potwierdziły), iż te rzeczy niestety praktykują się ciągle. Skargi ze strony dziewczęcia sprowadzają natychmiastową utratę miejsca. „Dzieciństwo najmitki — mówiła pani Schlesinger — to głód i nędza; jej lata szkolne—głód i męczarnie, a pożycie małżeńskie składa się z trosk, ubóstwa i pracy nadludzkiej bez rozrywki i odpoczynku.“ Cóż uczyniły Niemki, aby ulżyć swym siostrom? Lepsze przedstawicielki ruchu, otwarte głowy i wrażliwe serca, w rodzaju pani Cauer, zrozumiały, iż sprawy takie, jak uprzystępnienie kobietom studyów uniwersyteckich, są rzeczą drugorzędnej wagi wobec tego piekła ubóstwa i upośledzenia. Prawo wyborcze jest dla nich niezbędnem, gyż otworzyłoby niewolnicom zakneblowane usta i pozwoliło nadać stosunkom państwowym kierunek najbardziej pożyteczny dla kobiet. Jak jednak powierzchownie i naiwnie kobiety zapatrują się na bieg rzeczy w świecie, dowodzi ich stosunek do prostytucyi. Pomimo drażliwego charakteru kwestyi, rozbierano ją otwarcie, bez osłon półsłówek i aluzyj, dotykając gołemi rączkami wstrętnych wrzodów organizmu społecznego. Rozprawy nad tym przedmiotem należały do najbardziej interesujących, gdyż towarzyszyła im zapalczywa polemika. Nie ukrywano zupełnie, iż społeczeństwo mieszczańskie jest okresem rozkwitu prostytucyi. Miss Campbell z Glasgowa oświadczyła nawet, iż nie zna żadnego środka na baccilusa rozpusty; zagnieździł on się tak głęboko, że należy liczyć tylko na pomoc Boga. Miss Clapperton, wychodząc z założenia, iż główną przyczyną zepsucia jest rozsypywanie się w gruzy rodziny, proponowała utworzyć grupy, składające się z 20 rodzin. Młodzież płci męzkiej tuliłaby się wtedy chętniej pod skrzydła rodziny, szukając znajomości wewnątrz „związku rodzinnego,“ panny zaś miałyby łatwiejsze okazye do podbijania serc i prędzej torowałyby sobie drogę do kobierca ślubnego. Jest to myśl, a raczej utopia nie nowa i zapożyczona, o ile sobie przypominam, od Stantona Cvita z Ameryki.

W roli nieubłaganego pogromcy prostytucyi wystąpiła pani Bieber-Böhm. Przedmiot ten jest jej specyalnością, więc i poglądy jej zasługują na uwagę. Przez długi czas — według niej — mężczyźni okłamywali kobiety, ukrywając przed niemi, iż w społeczeństwach naszych kwitnie wielożeństwo. Żony, które polegały na zdaniu mężów, powtarzały za nimi: tak być musi, gdyż prostytucya istnieje już od tysięcy lat. Głupie i chorobliwe starały się naśladować swych mężów, myślące zaś niewiasty ze zgrzytem zębów znoszą ten porządek rzeczy. Katuszą jest żyć w świecie, w którym powierzchownie wszystko jest w porządku, wewnątrz zaś znajduje się próchno. Należy otwarcie powiedzieć kobietom, iż 99% młodzieńców przed ślubem prowadzi życie rozpustne, a 80% cierpi na choroby zaraźliwe. Gdyby to stało się powszechnie wiadomem, okrzyk zgrozy wyrwałby się ze wszystkich piersi niewieścich. Pani Bieber-Böhm zaprotestowała przeciwko błędnemu, podług niej, mniemaniu, jakoby prostytucya była koniecznem i nieuleczalnem złem. Jakże temu zaradzić? Bardzo prosto! Mężczyźni powinni od dziś stać się wstrzemięźliwymi i wstydliwymi, ponieważ kilku hygienistów jest zdania, że to jest możliwem; nie należy używać spirytualij, zwiedzać nocnych kawiarni i czytywać lubieżnych książek. Trzeba wystrzegać się szkodliwego towarzystwa itd. Oprócz tego rodzice powinni zamknąć drzwi przed każdym młodzieńcem, którego podejrzewają o to, że nie ślubuje wstrzemięźliwości płciowej; trzeba poddać bojkotowi niegodziwych mężczyzn, a panna niechaj się nie waży oddać swej ręki żadnemu z nich. Argusowe zaś oko matki niechaj czuwa nad przestrzeganiem tych przepisów. Przedewszystkiem jednak policya musi ująć w swe karby nierząd. Mówczynie ostro skrytykowały purytańsko-naiwną receptę referentki. Żadna zaś nie ośmieliła się przyznać, iż prostytucya jest właściwie złem daleko więcej rozpowszechnionem w najrozmaitszych formach, niż to przypuszczają kobiety. Nieurzędowa, rozmaitej jakości i w różnych stopniowaniach zalała ulice wielkich miast, wciska się do rodziny i podminowywa ją. Prostytucya ducha i ciała razem wzięte podkopują społeczeństwa. Słusznie więc zauważyła pani Caner, że przy obecnem położeniu rzeczy trudno marzyć o wytępieniu prostytucyi, której przedewszystkiem sprzyjają smutne warunki ekonomiczne. Dziewczyna sklepowa jest tak upośledzona pod wszelkimi względami i na tyle wystawiona pokus, iż niema się czego dziwić, że wcześniej lub później wpada do sieci pająka rozpusty. Pani Schlesinger zaszła nieco dalej, twierdząc, iż obecny okres naszej cywilizacyi jest nieodłączny od prostytucyi. Mężczyźni żenią się bardzo późno; nie wiadomo, z jakich legalnych źródeł mogliby przez długi czas do ślubu zaspakajać swe pragnienia miłości. Pani Zetkin wymieniła cały szereg zawodów, dla których zakaz prostytucyi równałby się wyrokowi śmierci. Komisya rządowa dowiodła, iż konfekcya niemiecka odnosi zwycięstwo nad zagranicą tylko dzięki nizkim płacom szwaczek, które są zmuszone szukać innych dróg dla zaspokojenia swych potrzeb. Prostytucya musi istnieć w interesie przemysłu. Tylko kilku idealnych mężczyzn mogłoby zadosyć uczynić wymaganiom pani Bieder-Böhm.

Kongres bogaty w rozprawy nie doprowadził zresztą do żadnych rezultatów praktycznych. Powzięto kilka uchwał bardzo niewinnej natury, a między innemi postanowiono zreformować... ubiór kobiecy. Spodnie męzkie odrzucono oczywiście jako ubiór wygodny, lecz nieestetyczny. Dlaczego pracująca kobieta nie ma przekładać wygody nad estetykę, referentka nie objaśniła. Wybrano jako najodpowiedniejszy dla kobiety strój królowej Ludwiki. Specyalny magazyn będzie wyrabiał te suknie i prowadził propagandę.

Niemki widocznie trochę się zlękły swej odwagi, ujawnionej na kogresie; dlatego też może na kartkach pamiątkowych, które rozdano uczestnikom na ostatniem posiedzeniu, winietka ukazuje nam niewiastę, trzymającą w jednej ręce pochodnię, a w drugiej róg obfitości, z którego się sypią... łyżki kuchenne, trzewiczki i podręcznik kulinarny. Zdala stoi Amor i celuje w serce kobiety.

H. F.

PAMIĘTNIK.

Zamykanie sezonu.

Wiadomo, że niezależnie od dwu stylów kalendarza, których używamy dla oznaczenia dat we wszelkich sprawach, wymagających ścisłości, wytworzyliśmy sobie styl trzeci, któryby można nazwać najnowszym, a który dzieli rok na cztery „sezony,“ albo „karnawały:“ zimowy, wiosenny, letni i jesienny. Kupiec, przemysłowiec, ogrodnik, rolnik, rzemieślnik, literat — pamiętają, bo zapomnieć nie mogą, że istnieje 12 miesięcy, że każdy z nich ma określoną ilość dni, że zawierając kontrakt i wystawiając weksel, trzeba według starego lub nowego stylu oznaczyć termin zobowiązania; ale po za sferą tych interesów liczą oni czas według stylu najnowszego. Więc pory roku zmieniają się u nas nie odpowiednio do położenia ziemi względem słońca, lecz zależnie od tego, kiedy przypływa do miast „szlachta“ po sprawunki, kiedy trzeba sprawić świeżą pelerynkę, urządzić corso, tańce, wyścigi, rekordy, przywieźć na targ rzodkiewkę i szparagi, nakarmić słodyczami prenumeratorów i rzucić trutki wydawnictwom współzawodniczącym. Pomimo że w kalendarzu juliańsko-gregoryańskim i w astronomicznym rozkładzie planu jazdy ziemi zaczęła się już jesień, my trwamy w sezonie letnim, bo łagodne powietrze nie wymaga jeszcze ciepłych okryć, woda pozwala pływać wioślarzom, pogoda ścigać się cyklistom i koniom, a nawet harmonia pism naruszona została niezbyt mocno, jak gdyby od noworocznej prenumeraty nie oddzielało nas zaledwie parę tygodni. I może byśmy tolerowali cierpliwie tę przewłokę „karnawału letniego,“ gdyby nie nudy i chęć przejścia co prędzej w okres nowych rozrywek. Zwłaszcza panie domagają się zamknięcia „sezonu.“ Rzeczywiście największej krzywdy doznają one w letnim. Nie wszystkie bowiem mogą wyjechać za granicę: większość musi odbywać pokutę za niepopełnione grzechy na letnich mieszkaniach, gdzie nie ma ani zabaw, ani towarzystwa, ani sposobności okazania strojów. Bo dla kogo się ubierać? Dla Maćka, który wynajmuje chałupę? Z kim gadać? Z Maćkową, którą zajmują tylko krowy, świnie i kartofle? Z kim flirtować? Z parobczakiem, który, głupiec, wyśmiewa „grzywiaste pokraki?“ Powietrze, świeże powietrze! — ciągle powtarzają wszyscy nieszczęśliwym męczennicom. Ale jeżeli nie należy żyć samym chlebem, to tembardziej powietrzem, chociażby najczystszem. Zresztą karnawałujące damy mogą zaniedbywać wiele obowiązków, ale że przewietrzają starannie swoje języczki, tego im nikt nie zaprzeczy.

Więc trzeba zamknąć już sezon, bo nasze najdroższe anioły niecierpliwią się, a kilkomiesięczną nudą zasłużyły na rozrywkę. Jakie zaś „niespodzianki“ kryje w sobie karnawał jesienny, tego, niestety, powiedzieć nie możemy, bo stoimy po za kołem jego tajemnic. Znawcy jednak upewniają, że „zapowiada się świetnie.“

Nieporozumienia.

W łabędzim śpiewie, którym *Cyklista* pożegnał letnie popisy bohaterów roweru, znalazło się kilka tonów ostrych ku nam rzuconych. Wspominając o napaściach prasy postępowej na cyklistów, pisze on: „Doprawdy nie umiemy wytłómaczyć sobie tej zajadłości (!); gdy bowiem po drogach wyrostki miejskie bez powodu szczują psami i obrzucają kamieniami cyklistów, składamy to na karb ciemnoty i przyrodzonych złych skłonności; tu jednakże takie moralne pociski chyba wyłącznie tej *drugiej* przyczynie przypisać należy.“ Tam do licha! Ani przypuszczaliśmy, że to „złe skłonności“ pobudzają nas do pytania, jaki cel ma — nie jazda na rowerze, nie wycieczki cyklistów, nawet nie wyrabianie w nich siły do szybkich i dalekich podróży, bo to wszystko posiada swój sens — ale kręcenie się całemi godzinami po torze dla prześcignięcia się o ułamek sekundy? Chociaż tutejsze Towarzystwo cyklistów wypiera się tego, jest jednak oczywistem, że ono najgorliwiej pracuje u nas nad wytworzeniem profesyonistów, wyścigowców zawodowych, którym chodzi tylko o zarobek, gdziekolwiek i jakkolwiek zdobyty. Właściwy sport jako użyteczna i zdrowa rozrywka pozostaje w jego dążeniach na drugim planie. Że tak jest, do-

wodem zawiązujące się w Warszawie nowe stowarzyszenie cyklistów, które ma dążyć głównie do tego zaniedbanego a ważniejszego celu. Jeżeli tedy szanowny *Cyklista*, oburzony naszą niesympatyą dla kosmopolitycznego profesyonizmu, chce w nas wynaleźć jej źródło, to już niech lepiej szuka przyczyny w sferze, w której jest mocniejszy, niż w psychologii i etyce, przypisując poprostu owe „napaści“ nie naszym „złym skłonnościom,“ ale... słabym nogom.

Te słabe nogi nie przeszkadzają nam jednak przyznać słuszności podanym przez niego argumentom przeciw opodatkowaniu roweru. Istotnie, odkąd ta maszyna stała się nietylko przedmiotem zbytku, ale narzędziem wysoce użytkowem jako środek szybkiej komunikacyi, nie ma żadnej zasady do opodatkowywania jej, tembardziej, że nie psuje ona i nie zanieczyszcza dróg i ulic, czyli nie niszczy i nie zużywa własności publicznej. Każdy wóz z końmi robi pod tym względem daleko więcej szkody.

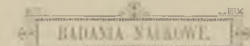
Morał jednostronny.

Kuryer codzienny ze zgorszeniem odsłania tajemnicę ostatniego posiedzenia członków zarządu Towarzystwa osad rolnych, na którem usiłowano nakłonić zrzekającego się swej godności prezesa (p. W. Mikiaszewskiego) do zatrzymania jej, tłómacząc mu, że „przed błotem i ulicą nie należy się cofać.“ Ulicą miały być pisma, czy też pismo, które wystąpiło z oskarżeniem przeciwko zarządzającej „Puszczą,“ a błotem — zarzuty podniesione w tej sprawię przeciw zarządowi. Nie myślimy bronić ani osądzonej, ani jej protektorów, którzy istotnie zbyt lekceważą sobie i swoje obowiązki i opinię publiczną; ale zdaje nam się, że jeśli już mamy z podobnych wypadków wyciągać morał, to nie jednostronny. *Kuryer* oburza się na wzgardliwe traktowanie prasy—słusznie; ale dlaczego nie zaznacza, że pewna część jej organów jest rzeczywiście „ulicą“ i ciska „błoto?“ Żądajmy dla siebie praw, ale nie przywilejów. Jeżeli pewne pisma uprawiają ze świadomością i złą wiarą paszkwil, kłamstwo i potwarz; jeżeli nie cofają się przed najbrutalniejszym wymysłem, najniegodziwszem oskarżeniem jedynie dla celów spekulacyi wydawniczej; jeżeli dla nich zniesławić człowieka, obedrzeć go ze czci, sponiewierać, wyszykanować karczemnymi konceptami jest czemś tak łatwem, zwyczajnem, nieobrażającem ani sumienia, ani smaku, jak niewinna igraszka, to doprawdy trudno wymagać, ażeby takie pisma szanowano i poczytywano za poważne głosy opinii publicznej. Fabrykacya skandalu dziennikarskiego przybrała u nas takie rozmiary, że wprzód winniśmy oczyścić stajnię Augiaszową, a potem dopiero przerobić ją na świątynię. Bywają wypadki, w których poprostu uczciwemu i przyzwoitemu człowiekowi boleśnie pomyśleć i wstyd wyznać, że zaliczany jest do tego samego zawodu, co wyrabiacze drukowanych oszczerstw. Zawsze ostro karcimy lekceważenie prasy w społeczeństwie, a bardzo rzadko piętnujemy jej wybryki i niecne napaści. Niech organy poważne i o honor dziennikarstwa dbałe nie tolerują wykroczeń skandalistów, a wtedy nietylko ich okiełznają, ale będą miały uzasadnione prawo dopominania się o szacunek dla swego stanu i jego opinii.

Witold Pruszkowski.

Niestety, malarstwo nie jest u nas sztuką, zadawalającą szeroko odczuwane potrzeby ogółu, więc nie przypomina ciągle swych adeptów jego uwadze, jeśli oni nie stanęli na wyżynach geniuszu. Zmarły świeżo W. Pruszkowski, twórca „Piasta,“ „Anhellego,“ „Madeja,“ „Zaduszek,“ „Snu na kwiatach“ i wielu innych obrazów historycznych i rodzajowych, był talentem dużej miary i znacznej płodności, gdy jednakże przed paru laty choroba wytrąciła mu pędzel z ręki, utonął w zapomnieniu. Tylko garść ludzi, bezpośrednio zetkniętych z tą dziedziną twórczości, wiedziała, że on jeszcze żyje; w pamięci ogółu nawet nazwisko jego zatarło się niemal zupełnie. Nie słyszeliśmy ani jednego głosu współczucia dla artysty, który długo pasował się z niemocą, znosząc straszną torturę nieuleczalnej choroby. Dopiero śmierć, jak zwykle, wydobyła z nas żal i uznanie — spóźnione.

Uczeń Matejki, naprzód jego naśladowca w odtwarzaniu historyi, dla której swój talent gwałcił, potem samodzielny malarz scen z życia współczesnego i widoków natury, wlał Pruszkowski w swe prace wiele oryginalnego wdzięku i ujmującej prawdy. Jego „Wiosna,“ „Kwietnia niedziela,“ „Umizgi“ i in. były utworami rzetelnego artyzmu. Czasem fantazya jego zwichrzała się w pomysłach dziwacznych, ale nawet wtedy pędzel zachowywał swą siłę. W rzędzie też współczesnych malarzów naszych zajął Pruszkowski miejsce bardzo wybitne, chociaż zeszedł z pola pracy i ze świata nie dosięgnąwszy lat 50. Padł jak kolumna strzaskana piorunem losu.



Henryk Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii.*

(Ciąg dalszy).

Czytając pochwały, jakiemi pisma warszawskie powitały ukazanie się dzieła prof. Struvego, możnaby mniemać, że reprezentowany przezeń kierunek posiada u nas powszechną sympatyę. Potrzeba jednakże pamiętać, kto wypisuje owe pochwały — albo dziennikarze, którzy trzymając się naoślep pewnych haseł, chwalą wszystko, co bodaj z pozoru tym hasłom odpowiada, albo pracownicy na tej samej niwie, na której i prof. Struve użął swój snopek. Nie przeczę, że dzieło jego, pomimo zastarzałego stanowiska, z jakiego przedmiot swój traktuje, może być pożytecznem dla naszego społeczeństwa. Bądź co bądź, obznajamia ona z zagadnieniami, o których każdy, co pragnie oddać się studyom filozoficznym, musi wyrobić sobie pewne pojęcie. Potrzeba tylko rozczytywać się w niem z wielką ostrożnością — i nie wszystko brać za prawdę, co w niem jako prawda figuruje. Bez tej ostrożności czytanie jego o tyle może się stać szkodliwem, iż zaszczepi w umysły, niewdrożone do pilnego zastanawiania się nad tem, co się czyta, kierunek myślenia, który nawet tej nie ma zalety, jaką się odznaczają systematy metafizyczne. Były one jednostronne, ale swą głębokością porywały umysł i pobudzały go do pracy; gdy tymczasem idealny realizm, pragnąc być wszechstronnym, stał się płytkim i swą płytkością usypia umysł, który w przeświadczeniu, że osiągnął prawdę, że ma gotową odpowiedź na każde pytanie, może uznać za zbyteczną dalszą pracę nad sobą,

Zadaniem dzieła prof. Struvego, jak to sam tytuł jego wskazuje, jest „rozbiór krytyczny zasadniczych pojęć o filozofii.“ Zajmuje się on w niem następującemi zagadnieniami:

1) Czem jest filozofia?

2) W jakim stosunku znajduje się do reszty objawów życia umysłowego?

3) Jaką powinna być metoda badań filozoficznych?

4) Jakie własności przedstawia umysł, poświęcający się samodzielnej pracy nad rozwiązaniem zadań filozofii?

Każdemu z tych pytań poświęca autor oddzielną część swego dzieła, traktując o nich wyczerpująco, poddając krytyce przeciwne zapatrywania i dołączając do tego obszerne wskazówki bibliograficzne, które pouczają, na jakich źródłach sam autor się opierał i gdzie należy szukać dokładniejszych wyjaśnień rzeczy, jeżeli ich kto będzie potrzebował. W tych wskazówkach nie ogranicza się on do autorów, zostających z nim w pewnem duchowem pokrewieństwie z jego kierunkiem; przytacza on również prace uczonych, którzy są przeciwnikami zajmowanego przezeń stanowiska. Z tem wszystkiem załączane do nich komentarze nie zawsze odznaczają się bezstronnością i często nawet ich poglądy bywają przedstawiane dość opacznie. Czy dzieje się to zamiarowo, czy przez nieuwagę, trudno o tem coś pewnego powiedzieć.

Gdybym chciał dokładne dać pojęcie o dziele prof. Struvego, musiałbym zastanawiać się po kolei nad wszystkiemi wymienionemi powyżej pytaniami i poddawać szczegółowemu rozbiorowi odpowiedzi, jakie autor na nie dostarcza. Wymagałoby to atoli znacznie obszerniejszego artykułu, niż ten, na jaki mnie stać obecnie. Dlatego ograniczam się tylko do tych twierdzeń autora, które skupiają w sobie całą treść jego nauki i wystarczają najzupełniej do zdania sobie sprawy z tego, co prof. S. rozumie przez filozofię i jakie są główne podstawy, na których ją opiera.

Przedewszystkiem musimy zastanowić się nad tem, co autor rozumie przez filozofię. Już z tego, cośmy powyżej powiedzieli o jego stanowisku eklektycznem, łatwo się domyślić, że filozofia w jego rozumieniu nie jest czem innem, jak metafizyką. To znaczy, że nie jest ona syntezą wiedzy ludzkiej, uogólnieniem uogólnień, do których w drodze doświadczalnej dochodzą szczególne gałęzie nauki, ale systemem spekulacyi, wysnutej dedukcyjnie z założenia, przyjętego za pewnik. Jakoż zaznacza to wyraźnie sam autor, odpierając zarzuty, czynione metafizyce, a zarazem wykazując różnicę, jaka zachodzi między filozofią a nauką. Jednym z głównych warunków, ciążących na metafizyce, jest ten, że skoro sama ona wyłącza się z zakresu wiedzy ludzkiej, tem samem zajmuje stanowisko, jakie tylko poezyi jest właściwem stanowisko, na którem główny czynnik stanowi fantazya. Że zarzut ten jest słuszny, że go obalić nie potrafią żadne wykręty adwokackie, dowodzi tego najlepiej sama historya filozofii, która wykazuje, że jeżeli gdzie, to w zakresie spekulacyj metafizycznych sprawdza się jak najściślej znane nasze przysłowie: „co głowa, to rozum.“ Każdy systemat filozoficzny co innego podaje za prawdę i każdy rozważany sam w sobie zdaje się prawdziwym; dopiero gdy je zestawimy z rzeczywistością, przekonywamy się, że wszystkie one są zamkami na lodzie! Dlatego podjęta przez autora obrona o tyle chyba zasługuje na uwagę, że odwołuje się on w niej do zdania G. Lewesa, który mimo swego pozytywizmu stanąć miał w obronie metafizyki. Że takie odwoływanie się do filozofa, który był jawnym przeciwnikiem spekulacyi oderwanej, należy zaliczyć do zwykłych fortelów adwokackich, każdy przyzna, kto zważy, że inne znaczenie nadaje Lewes wyrazowi metafizyka, niż p. Struve. Dla naszego autora metafizyka jest spekulacyą oderwanego myślenia, dla Lewesa zaś najwyższem uogólnieniem praw, do jakich dochodzą w swych badaniach pojedyńcze nauki — i taką tylko metafizykę angielski filozof przyjmuje i uznaje za niezbędną; co się zaś tyczy metafizyki, wysnuwającej dedukcyjnie swe wnioski z założenia, powziętego z góry, *a priori* — odrzuca ją bezwzględnie, nazywając metempiryką.

Główną różnicę między metafizyką, inaczej filozofią, a nauką upatruje autor w tem, że nauka wychodzi z założeń, o których udowodnienie nie troszczy się, lecz przyjmuje je za prawdy dlatego tylko, że są one konieczne dla niej, jako niezbędne podstawy, na których opiera się ona w wyjaśnianiu faktów doświadczalnych; kiedy tymczasem filozofia nie przyjmuje nic bez dowodu. Czy w rzeczy samej ta różnica między nauką a filozofią da się ściśle przeprowadzić? Prawdy naukowe, będące uogólnieniami prawd szczególnych w pewnej gałęzi badań doświadczalnych, nie mogą być dowiedzione, chyba że je odniesiemy do najwyższego uogólnienia, które je wszystkie obejmuje i tem samem uzasadnia, jako swe wnioski. W tym atoli wypadku owo najwyższe uogólnienie pozostanie bez dowodu, gdyż po nad nie wyższego już nie ma. Tak jest w sferze badań naukowych. Czy inaczej dzieje się w metafizyce? Wychodzi ona w swych wywodach z prawd, które uznaje za konieczne na tej tylko podstawie, że mają one być bądź wrodzone umysłowi, bądź też, jak nasz autor utrzymuje, są koniecznym wytworem czynności umysłu, który musi w danych warunkach działać tak, jak mu nakazuje jego ustrój. Otóż zarówno w jednym, jak i drugim wypadku opiera się filozofia bez dowodu na przypuszczeniu, że tkwią w umyśle pewne prawdy, albo też że ustrój umysłu jest taki, iż z konieczności musi on to, a nie co innego uznać za prawdę. Okazuje się więc, że zaznaczona przez autora różnica między filozofią a nauką pod względem ostatecznych prawd nie istnieje wcale, że jeżeli zachodzi między niemi pod tym względem różnica, to chyba ta, że gdy nauka otwarcie przyznaje się do swej niemocy, metafizyka w swej zarozumiałości dogmatycznej utrzymuje, że jest w posiadaniu prawdy bezwzględnej, zawierającej dowód swej wiarogodności w sobie samej, chociaż właśnie w owym dodatku zamyka się mimowolne przyznanie, że swej prawdy dowieść nie potrafi. Najlepszem świadectwem słuszności powyższej uwagi jest sam idealny realizm. Przyjmuje on w założeniu, że prawa przyrody są równoległe do praw myślenia, zasady tej atoli nie dowodzi, chyba że za dowód uważa twierdzenie, iż świadomość jest pierwiastkiem tak samo powszechnym, jak materya, że jest ona właściwą każdemu bytowi, zaczynając od atomu a kończąc na istotach żyjących, jakiemi są na ziemi zwierzęta i ludzie. Lecz w takim razie potrzeba dowieść, że owo twierdzenie jest słuszne. Czy idealny realizm czyni zadość tej potrzebie? Gdyby nawet chciał wywiązać się z tego zadania, to nie potrafi — chyba że odwoła się w tym wypadku do zasady ciągłości, lecz sama ta zasada wymaga dowodu. Słuszną jest ona w zastosowaniu do ruchu, jako zasada dynamiczna, ale fałszywą zgoła w zastosowaniu do zjawisk przyrodzonych, między któremi zaznacza nauka przerwy i przeskoki, żadnemi hipotezami niedające się wypełnić. Powie kto może, że stwierdzeniem zasady ciągłości jest prawo przyczynowości, które przedstawia nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Pomijając już, że prawo przyczynowości w zwykłem rozumieniu rzeczy jest pojęciem, na wewnętrznem doświadczeniu opartem, i tylko przez analogię przeniesionem na zewnątrz; to w każdym razie w swem znaczeniu przedmiotowem opiera się ono na innej zasadzie, którą jest stateczność siły i niezniszczalność materyi.

Widzimy więc, że różnica, jaką autor zaznacza między filozofią a nauką, nie w tem leży, iż jedna z nich dowodzi swych założeń, druga przyjmuje je bez dowodów, ale w tem, że założenia naukowe same przez się są widoczne i znajdują swe potwierdzenie w faktach doświadczalnych, kiedy tymczasem założenia metafizyki nabierają widoczności w miarę, jak się wysnuwają z nich ostateczne wnioski logiczne, które przy pewnej biegłości dyalektycznej dadzą się łatwo usprawiedliwić za pomocą dobranych zręcznie faktów doświadczalnych.

Jak powiedziałem, idealny realizm przyjmuje za punkt wyjścia dla swych wywodów twierdzenie, że prawa przyrody są równoległe do praw myślenia. Twierdzenie to nasuwa przedewszystkiem pytanie, jak należy pojmować owe prawa, wspólne przyrodzie i myśleniu? Czy są one jakimś przedustawnym porządkiem, zewnętrznie niejako istniejącym w stosunku do zjawisk przyrody i umysłu, na podobieństwo praw, jakiemi się rządzą społeczeństwa; czy też samoistnem ustosunkowaniem się zjawisk fizycznych i duchowych na mocy posiadanych przez nie własności i wzajemnego na się oddziaływania? Że prof. Struve pojmuje owe prawa w pierwszem znaczeniu, okazuje się wyraźnie z jego nauki o celowości powszechnej, która nie jest skutkiem przystosowania się bytów do zewnętrznego otoczenia, ale dziełem mądrości twórczej, działającej zamiarowo i podług swego zamiaru urządzającej świat cały.

Wobec takiego poglądu na prawa przyrody i umysłu twierdzenie autora o równoległości tych praw nie wymaga innego uzasadnienia nad to, że ta równoległość jest ustanowieniem pozaświatowem. Dlatego też pomiędzy tem twierdzeniem a przypuszczeniem, że świadomość jest właściwa każdemu bytowi materyalnemu, nie zachodzi konieczny związek. Uznanie świadomości za pierwiastek współrzędny materyi nie ma więc na celu uzasadnienia głównego założenia idealnego realizmu, ale raczej pogodzenie dwóch przeciwnych sobie kierunków metafizycznej spekulacyi — materyalizmu i spirytualizmu.

Nadmienić tu muszę, że jak w tym wypadku, tak i w wielu innych, nie istnieje konieczny związek między szczególnemi twierdzeniami autora. Uważa on to nawet za zaletę swej filozofii, gdyż uprzedza swych czytelników, żeby jej nie brali za jakiś systemat, chcąc zapewne przez to dać poznać, że nie zacieśnia się ona do wyłącznego jakiegoś punktu widzenia, ale ogarnia wszystkie, słowem, usiłuje być wszechstronną. Że ta troska o wszechstronność wypływa z samej natury eklektyzmu, którego zadanie polega na godzeniu sprzeczności, zbytecznem było dowodzić.

(D. c. n.)

Wł. Kozłowski.
(Lwów).

PIĘKNO W NATURZE

ze stanowiska hygieny duszy i ciała

(odczyt wypowiedziany w Zakopanem na korzyść Muzeum imienia Tytusa Chałubińskiego).

III.

Powiedzieliśmy, że kształcenie odpowiednie może uczynić bodźce, zwykle wywołujące uczucie brzydoty, bodźcami wywołującymi uczucie piękna. Odnosi się to zwłaszcza do królestwa zwierząt. Tutaj wiedza, zrozumienie wszystkich sprężyn cudownego gospodarstwa przyrody budzi w nas zachwyty tam, gdzie umysł odpowiednio nieukulturowany znajdzie wstręt i odrazę. Kto zna zoologię, fizyologię ogólną i porównawczą, ten naprzód wobec mnóstwa stworzeń pozbędzie się panującej zbyt powszechnie przesądnej odrazy, szczególnie względem wielu owadów, robaków i gadów. Naturalista spotka mnóstwo przejawów piękna tam, gdzie ktoś, zdjęty nieusprawiedliwioną obawą lub wstrętem, doznaje wrażenia przykrego brzydoty. Czy to patrzymy na faunę wodną choćby maluczkiego stawu, na faunę ziemi wilgotnej pod odwalonym kamieniem, na faunę zdartego kawałka kory drzewnej itd., potworność i brzydota stają się dla naturalisty doskonałą zgodą formy i zadań, a często nawet pięknością kształtów. Pamiętać trzeba, że piękno jest uczuciem względnem i wypadkową wpływu bodźca i naszej indywidualności odpowiednio ukształconej.

Pomijając mnóstwo innych ważnych względów, wykład nauk przyrodniczych, a w szczególności historyi naturalnej w szkołach średnich, już z tego względu nabiera pierwszorzędnej wagi, że rozwija w młodzieży zmysł spostrzegawczy i uczy poznawać czary natury i cieszyć się jej pięknem. Szczupły i powierzchowny wykład historyi naturalnej, praktykowany w wielu szkołach klasycznych, a tembardziej zupełny brak tego wykładu jest ciężką krzywdą wyrządzaną młodzieży, a więc i społeczeństwu i pozostaje przedewszystkiem w rażącej sprzeczności ze wskazówkami, jakie nam daje przyroda sama, przekonywając, że uciecha z jej zjawisk jest warunkiem normalnego rozwoju ciała i duszy.

Mylą się ci bardzo, którzy sądzą, że nauki języków rozwijają jakoby bardziej w umysłach młodzieży cechy iście humanitarne, a jeszcze więcej ci, którzy naukom przyrodniczym przypisują wpływ wprost ujemny na rozwój owych cech.

Nic tak nie rozwija poetyczności ducha, a zarazem pewnej tkliwości i łagodności obyczajów, jak stykanie się z naturą i ukochanie jej. Ta miłość czyni człowieka mniej dbałym o własną osobę i przedstawia go bardziej w jego własnych oczach jako cząstkę całości stworzenia. Czyż może rozwijać więcej ducha poezyi i fantazyi symbolistyka językowa zjawisk, niż zjawiska same w swej potężnej rzeczywistości, choćby twórcami tej symbolistyki byli: Homer, Owidiusz lub Wirgili?

Wykład historyi naturalnej w szkołach średnich nie powinien być suchym, lecz przedewszystkiem należy traktować go poglądowo, barwnie i to nietylko na okazach, ale na łonie natury samej. Wycieczki botaniczne, zoologiczne i geologiczne pod kierunkiem nauczycieli kochających naturę, winny być jednem z najważniejszych zadań szkoły. W pedagogii jeszcze jako tako się pamięta, że dziecko będzie członkiem towarzystwa, ale daleko mniej o tem, że przedewszystkiem jest ono mieszkańcem tej ziemi i że ziemię tę powinno nauczyć się kochać.

Wykład historyi naturalnej, prowadzony umiejętnie, budzi nietylko zamiłowanie do piękna, przyczynia się do umiejętniejszego i skuteczniejszego opanowywania żywiołów natury, ale rozwija razem, że tak rzekę, pojmowanie jej ducha, uczy ją rozumieć, a rozumienie to jest niezawodnem źródłem najtrzeźwiejszych na życie poglądów, więc też najodpowiedniejszego przystosowania się życia naszego do jego najkonieczniejszych wymagań.

Mało jeszcze stosunkowo wiedzy posiadający starożytni mędrce ludów zaludniali lasy i gaje, góry i jaskinie, morza i rzeki, bogami i półbogami. Opowiadali oni, jak powstawały skały z mężów, kwiaty z dziewic, perły z łez itd. i tą logiką fantastycznych legend objaśniali na swój sposób racyę zjawisk. Bezwątpienia, niezmiernie poetycznym był ten świat bogów pełnych mądrości i siły, a zarazem ludzkich pokus i żądz. Ale też nic a nic nie odbiera naturze ani poezyi, ani uroku, ani grozy tajemniczości patrzenie na jej dziwy, na jej ogromy, na jej harmonie i zdarzenia w prawdziwem świetle nauki.

I zaprawdę, gdy spoglądamy na wielki krajobraz górski, na te spiętrzone masy

opoki, tu rozdartej w przepaście, tam ciągnącej się nieskończonemi pasmami warstw pogiętych, gniotących jedna drugą, tam znowu widocznie rozpryśniętej w tysiące brył i odłamów, które z tytaniczną siłą wybuchową wulkanów wyrzucone do nieba spadły i leżą jako ciemne pomniki wielkich wysiłków natury w porodzie życia i stosownych dlań warunków; gdy widzimy ślady wielkiej wędrówki lodowców i wód, tu żłobiących koryta, tam osadzających nowe lądy, prących przed sobą skały, które wypełniają doliny i zalegają ciżbą równiny dalekie; gdy owdzie znowu spostrzegamy, jak życie niższe ustępuje miejsca wyższemu, jak miliardy stworzeń żywych z wapiennej wydzieliny i ciała swojego usłały olbrzymie pokłady wapniaków i gór kredowych, by na tym wiekuistym ich cmentarzu nowe, lepsze zaroiło się życie — wtedy w wyobraźni naszej przeciąga niby w jasełkach cała kolej okresów, jakie ziemia nasza przechodziła od pierścienia Laplace'owego, który się z macierzystego oderwał słońca, od okresu, kiedy jako wielka kula ognista po elipsie swej biegła przez wszystkie koleje jej stygnięcia i dalszej formacyi.

Z taką świadomością patrząc na piękno natury, obok krajobrazu rzeczywistego, roztaczającego się przed wzrokiem naszym, snuje się przed oczyma duszy naszej cały szereg wielkich krajobrazów przeszłości i ogarnia nas głęboka myśl o tem tak potężnem, a tak wzniosłem, tak wymownie pouczającem nas dążeniu natury do tworzenia, do budowania, do nieustającego doskonalenia i poprawiania tego, co już jest spełnionem.

Na przygotowanej tak wielkim nakładem sił i energij fizyczno-chemicznych glebie powstaje świat ożywiony roślin i zwierząt, a w nim te różnorodne kształty i rodzaje coraz doskonalsze, coraz wyższe. Czyż nie wyczytujemy tu znowu wyraźnie nieustającego dążenia natury do rozwoju, do doskonałości; czyż nie dodaje to nam podniety i energii do pracy nad doskonaleniem własnej naszej istoty, nad dźwiganiem do coraz to wyższej kultury społeczeństwa, którego cząstkę każdy nas stanowi, do miłości tego płatu ziemi, którego dziećmi dano nam być? Kontemplacya przyrody przy świetle pochodni wiedzy niszczy w człowieku ciasno sobkostwo, łączy go z wszechbytem. Zrozumienie właściwe ducha natury, gdzie walka o byt jest tak potężnym czynnikiem rozwoju, pobudza nas do walki o ideały, do gorliwej, namiętnej żądzy postępu i rozwoju — tylko trzeba rozumieć, że w świecie ludzkiem inne są narzędzia skutecznej walki, że tu siła ducha bierze przewagę nad siłą fizyczną. I tu silniejszy pokona słabszego, tylko że tu siłę stanowi: miłość, mądrość, sprawiedliwość. Podkreślamy to mocno, choćby się z pozoru inaczej wydawało, niemniej jest faktem, że w walce o byt, w dążeniu do rozwoju kultury ludzkiej, zwycięża, a z pewnością zwycięży miłość, mądrość, sprawiedliwość. Miłość, mądrość, sprawiedliwość świata ludzkiego to są zwycięskie kły, rogi, pazury świata zwierzęcego! Kultura nie jest pojęciem sprzecznem z pojęciem natury, postęp cywilizacyjny to tylko rzekoma walka z przyrodą — to jest miłość celów i dążeń natury, to dalszy jej rozwój, przy tych samych zasadniczych prawach rozwoju, ale z odpowiednią przemianą i celów i środków. Postęp kulturalny to podniosły udział człowieka maluczkiego w wielkiej sprawie stworzenia, to największa jego duma! *)

Natura wszędzie jest piękną i uroczą — powtarzać to możemy bez końca. Ludzie rozmiłowani w niej, z równem niemal upodobaniem zachwycają się i okazalszymi i skromniejszymi krajobrazami; dla nich dosyć już małego trawnika śród murów miasta, z kawałkiem skąpym błękitu w górze, choćby z jednem na tym trawniku drzewem, z brzęczącą po nad nim muchą, śpieszącemi się śród trawy mrówkami, z paroma wróblami, które w przelocie z dachu na dach zatrzymują się rade na gałązkach drzewa — tego cienia pejzażu im dosyć, aby już doznać wzruszenia płynącego z poczucia piękna w naturze.

Są to dusze, bezwątpienia, wielką poetycznością uposażone, bo tu skromny bodziec trafia na mnóstwo napiętej siły uczuciowej w ośrodkach nerwowych i stwarza wzruszenie, wydające się dla mniej tkliwego osobnika niemal śmiesznie nieproporcyonalnem. Poetyczność wszakże usposobienia tak zadziwia prozaika, jak szlachetna szczodrość zimnego skąpca; jedna i druga wszakże daje najprawdziwsze w życiu szczęście, jedna i druga przedłużają życie. Panuje powszechnie przekonanie, nieuzasadnione na szczęście, że poetyczność usposobienia raczej skraca życie. Bezwątpienia, przesada bywa zawsze szkodliwą. Gdyby wielka wrażliwość na piękno w połączeniu z bujnością wyobraźni działały ujemnie na zdrowie, nie spotykalibyśmy tak wielu względnie sędziwych starców śród najwybitniejszych przedstawicieli artyzmu. Wspomnimy tu tylko z szeregu naszych poetów Bohdana Zaleskiego, Lenartowicza, Ujejskiego. Adam Mickiewicz w Konstantynopolu padł ofiarą cholery w 55-ym roku życia; przypadkowej jego śmierci przeto w okresie zresztą bliskim starości, wskutek choroby ostrej, zakaźnej, nie można kłaść na karb przetrawienia się serca i mózgu zbytnią wrażliwością i pracą. Przeciwnie, uderzającą jest wysoce długowieczność najznakomitszych poetów. Weźmy przykłady z Niemiec:

Klopstock Fryderyk	żył lat	79
Wieland Krzysztof	„	80
Goethe Wolfgang	„	83
Tiedge Krzysztof	„	89
Schlegel August	„	78
Tieck Ludwik	„	80
Ubland Jan Ludw.	„	75

A teraz przypatrzmy się długowieczności poetów francuskich:

Lebrun-Pindar	żył lat	78
Rouget de Lisle autor Marsylianki	„	76
Laya Jan	„	72
Chateaubriand Fr.	„	80
Vieneut Jan	„	91
Beranger Piotr	„	77
[illegible]	„	[illegible]
Lamartine	„	79
Deschamps Emil	„	80
Hugo Wiktor	„	83

Z pomiędzy najznakomitszych poetów angielskich

Walpole	żył lat	74
Crabbe	„	78
Wordsworth	„	80
Rogers	„	92
Moore	„	72

Szczególniej wielu starców wskazuje historya śród poetów duńskich — bierzemy tu wszędzie pod uwagę tylko pisarzy XVIII i XIX w. I tak:

Holberg	żył lat	70
Heiberg P.	„	83
Thaarup	„	72
Oehlenschlager	„	71
Ingeman	„	73
Grundtoig	„	89
Hanet	„	82
Hertz H.	„	72
Andersen	„	70
Winther	„	80

Nie jest tu naszem zadaniem wykazać długowieczność poetów wszech narodowości; wymienione nazwiska dostatecznie dowodzą, że poetyczność ducha raczej przedłuża, aniżeli skraca życie. Nie spotykamy w powyższym regestrze kilku najwybitniejszych nazwisk, ale też nie są wyjęci poeci z pod klęsk ogólnych. Słowacki pochodził z rodziny suchotniczej. Alfreda de Musset powaliły przedwcześnie cierpienia moralne, Byron zginął od żółtej gorączki. Shelley utonął mając lat 30. Heine w 57 r. życia zmarł wskutek przewlekłej choroby infekcyjnej, która dziesiątkuje niestety tysiące nie poetów. Ponieważ mówimy tu specyalnie o wrażliwości na piękno natury, nie bez interesu będzie przyjrzeć się długowieczności pejzażystów, wymieniamy tylko najznakomitszych malarzy francuskich i niemieckich:

Poussin	żył lat	71
Patel Piotr	„	71
Corot	„	79
Sudin T.	„	78
Ouvrie P. J.	„	73
Flaudrin J. P	„	77
Dupre Jul.	„	72 (w r. 1883)
Rousseau Fil.	„	71
Koch Józef	„	71
Preller Fryderyk	„	74
Scheureo Kasp.	„	77
Lessing Karol	„	72 itd.

Nie możemy się przy tej sposobności powstrzymać się od przypomnienia, że Michał Anioł żył lat 88, Tycyan 99, Holbein 75, Teniers Dawid 75, Vanloo Jan-Bapt. 76, Ingres M. 86 itd. itd.

(D. n.).

Dr. Henryk Nussbaum.

*) Porówn. artykuł „Przyczynek do teoryi geniusza“ w dzisiejszym numerze. *Red.*

LITERATURA I [illegible]

PRZYCZYNEK DO TEORYI GENIUSZA.

Literatura i sztuka są wytworami geniusza, talentu. Czemże właściwie są tę siły tajemnicze, których istnienia niektórzy całkiem obecnie zaprzeczają, sądząc, iż są one wprost sprawą wychowania i które inni znowu chcą ogłosić za rodzaj waryacyi i newrozy? Kilkakrotnie zaznaczaliśmy już nasze stanowisko w tej kwestyi na tem miejscu [1]). Postaramy się bliżej je uzasadnić.

W świecie zwierzęcym zauważyć można dwa typy pożycia: samotnego i gromadzkiego. Najdoskonalszym przedstawicielem pierwszego jest pająk, ten absolutny indywidualista, który nawet samicy znieść nie może. Ale do tego typu należą także i wielcy drapieżce: orzeł, lew, tygrys itp., żyjący parami, samiec z samicą, przez dłuższy lub krótszy okres czasu. Każde z tych zwierząt toczy walkę na własną rękę i dlatego musi się przystosować do wszystkich możliwych warunków istnienia — ciało, zmysły, inteligencya i wola ich rozwijają się równolegle i jednocześnie. Ich rozwój jest wszechstronny, gdyż każda jednostka, która pod jakimkolwiek względem okazuje się słabszą od innych, ma mniej czasu do utrzymania się w walce o byt i jest bez miłosierdzia wytępiana. W ten sposób utrzymują się przy życiu tylko jednostki najdoskonalsze i postęp biologiczny jest zapewniony.

Bo na czem postęp ten polega? Jeżeli rzucimy okiem na gatunki zwierzęce, poczynając od najniższych i kończąc na człowieku, zauważyć możemy, iż dana istota tem wyższy zajmuje szczebel na drabinie rozwoju, im więcej posiada organów i funkcyj odrębnych.

Drugi typ pożycia, gromadzki, jest reprezentowany przez kolonie, mrowiska, ule, stada zwierzęce i społeczeństwa ludzkie. Rozwój tych zbiorowisk polega na tem, iż solidarność, współzależność [2]) ich członków wciąż wzrasta i że każdy z nich coraz bardziej się specyalizuje w jakiemś

[1]) *Prawda*, r 1895: artykuły o „Rozwoju społecznym i literackim,“ o Manzonim, o M. Aniele.

[2]) Integracya.

odrębnem zajęciu, dzięki czemu podział pracy społecznej [1]) coraz bardziej postępuje naprzód. W tych warunkach mogą się utrzymać przy życiu nie jednostki najwszechstronniejsze, najdoskonalsze, lecz owszem te, co są najbardziej uproszczone. Przykład ulów i mrowisk dowodzi, iż pożycie społeczne ma dążność do utrzymania tylko istot jak najbardziej wyspecyalizowanych i pokaleczonych. Toż samo odbywa się w społeczeństwach ludzkich. W ten sposób postęp biologiczny zostaje powstrzymany przez rozwój społeczny. Bo jeżeli w stadzie pojawia się jednostka wszechstronna, która najlepiej reprezentuje dany gatunek lub mogłaby się przyczynić do wytworzenia wyższego, to zostaje wytępiona przez dobrze zsolidaryzowane otoczenie.

Wciąż wzrastająca solidarność i współzależność członków danego stada dąży więc do ujednostajnienia istniejącego typu biologicznego, zaś podział pracy — do uproszczenia i cofnięcia go w tył.

Te wnioski teoretyczne zostały ostatnimi czasy znakomicie potwierdzone przez dane antropologii, usystematyzowane w tej kwestyi przez G. Vacher de Lapouge'a [2]). Przejdźmy jednak do strony psychologicznej tej sprawy, która nas interesuje bezpośrednio.

Podział pracy społecznej rozprasza właściwości duchowe danej rasy na oddzielnych jej przedstawicieli, stosownie do zawodów, lecz one zbierają się, jak w ognisku wspólnem ponownie, w duszy geniusza. Jest to prawda, która do takiego stopnia zdobyła sobie prawo obywatelstwa w krytyce naukowej, że taki Taine podejmował się na zasadzie pierwszego lepszego genialnego utworu odtworzyć nietylko duszę artysty, ale także duszę narodu i rasy, do której on należy. Gdy chłop, malarz, ksiądz, muzykant, szlachcic, kupiec itd. żyją każdy w swej odrębnej sferze i coraz mniej są w stanie z dniem każdym zrozumieć jedni drugich, Mickiewicz zrozumiał ich i odmalował wszystkich w „Panu Tadeuszu." Należy zaś dodać, iż między „zrozumieć" i „wykonać" istnieje tylko różnica ilościowa, nie zaś jakościowa: inteligencya i wola, to dwa rozmaite sposoby wyrażania jednakowych procesów mózgowych [3]). Wszelka myśl jest początkiem czynu i ma dążność do wyładowania się w ruchach zewnętrznych. To tylko rozwój społeczny wykopał pomiędzy myślą i czynem tę otchłań, która między niemi obecnie istnieje. Rozumiejąc wszystkich, Mickiewicz posiadał w zarodku zdolności wszystkich. Tak samo Puszkin, W. Hugo, Schiller, są najdoskonalszymi wyrazicielami odpowiednich ras i narodów, których dusze odbijają się w ich dziełach, jak w najczystszych zwierciadłach. Jeżeli nareszcie weźmiemy ludzi takich, jak Leonardo da Vinci, Goethe, Wagner, znajdziemy w duszy każdego z nich połączone właściwości już nietylko rasy odrębnej, ale także ludzkości całej: myśliciele, artyści, ludzie woli, są oni najdoskonalszymi wyrazicielami ludzkości zupełnej, i każdy z nich miał oprócz tego swą własną indywidualność, którą starali się wcielić i rozpowszechnić, tworząc nowy gatunek podobny do nich i bogatszy od ludzkości istniejącej. Można więc ich rozpatrywać jako pierwszych przedstawicieli gatunku wyższego, niż człowiek obecny, gatunku, który mógłby powstać z jednego lub kilku źródeł: tak antropologowie zajmują się kwestyą pierwszego przodka rodzaju ludzkiego i jego pojawienia się w jednym lub wielu ogniskach globu.

Można nam na to odpowiedzieć, iż wszechstronność ludzi, jak Goethe lub L. da Vinci, może być zakwestyonowaną: jeżeli byli pierwszorzędnymi artystami i myślicielami, to nie sposób jest uważać ich za ludzi czynu. Zarzut ton wydaje się nam zwykłem nieporozumieniem: czyż utworzenie wielkiego dzieła — poematu, symfonii, obrazu lub posągu — nie wymaga rozwinięcia potęgi woli, nie mniejszej od tej, jaką wielki mąż stanu rozwija w radzie ministrów, a wódz na polu walki? Tak sądzić mogą tylko ci, co pojęcia nie mają o pracy umysłowej i twórczej. Taż sama potęga, spadek wody, może być użyta albo do obracania młynów, albo do oświetlania ulic. Taż sama moc woli musi być obecną i w Shakespearze, co i w Napoleonie — ona się tylko inaczej wyraża i objawia na zewnątrz. Z tego, że jakiś wielki artysta był niezaradny w życiu, wnosimy zwykle, iż był człowiekiem bez woli. Jest to absurd powszechnie panujący i wywołany przez przesądne pojmowanie terminu „wola," który raz na zawsze zczepił się z pewnymi tylko praktycznymi przejawami.

Powróćmy wszkże do naszego punktu wyjścia. Widzieliśmy, iż przy życiu stadnem, społecznem, pojawienie się typów biologicznych wyższych, tj. jednostek bogaciej uposażonych w organy, funkcye i zdolności, jest powstrzymane i że ludzkość jeszcze do tego nie doszła: od czasu do czasu zjawiają się jednostki, które przedstawiają istotną dążność do wytworzenia gatunku wyższego. Nie trzeba się wszakże oszukiwać: te przebłyski niczego nie dowodzą i do niczego nie prowadzą i społeczeństwa ludzkie nie mogą się wyłamać z pod praw tej miażdżącej wyższe jednostki ewolucyi, która jeszcze do ostatecznej swej mety nie dobiegła, ale tam z siłą nieubłaganą podąża.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób to wytępianie jednostek wyższych, geniuszów, w społeczeństwie ludzkiem się odbywa. Jest to proces tak niepostrzeżony, iż gotowiśmy jego istnienia, zwłaszcza w państwach cywilizowanych, zaprzeczać. Tymczasem staje się on coraz potężniejszym właśnie w miarę postępu cywilizacyi. Rozumie się, wytępianie to odbywa się nie w ten sposób, aby ktoś podchodził do geniusza i trzasnął go bez ceremonii maczugą po głowie. Rozwój społeczny wynalazł sposoby daleko delikatniejsze. Jak rzekliśmy, charakteryzuje się on wzrostem solidarności i podziału pracy.

Pierwsza wyraża się tem, iż społeczeństwo dąży do postawienia wszystkich swych członków w jednakowych warunkach i do udzielania im praw jednakowych. Pod wpływem tego zdolniejsi, jako bardziej rzadcy, muszą być wytępieni. Przedstawmy sobie pole zasiane głogiem, łopianem, ostem, śród których gdzieniegdzie tylko, zrzadka, sterczy kłos pszenicy i przypuśćmy, iż waryat rolnik wszystkie te rośliny postawił w warunkach jednakowych pod względem światła, ciepła itd. Jest rzeczą oczywistą, iż lepsze niechybnie będą wytępione i zagłuszone przez złe. Toż samo dzieje się w społeczeństwie.

Nie chcemy tu pisać apologii przywilejów geniusza, staramy się tylko *zrozumieć*, jak odcięcie tych przywilejów i postawienie na równej stopie z innymi, musi doprowadzić do jego wytępienia. Widzieliśmy to na doborze płciowym. Podział pracy jeszcze zgubniej wpływa na geniusza. Ten proces społeczny nie pozwala mu rozwinąć wszystkich sił, lecz skierowywa go do specyalności. To jakby kto systematycznie rozwijał działalność serca, a powstrzymywał działalność innych organów. Cóż dziwnego, iż ta kultura nienaturalna i chorobliwa wywołuje zboczenia i zwyrodnienia, które do tego przechodzą dziedzicznie z ojca na syna i zwiększają się od prześladowań tłumu. Jest rzeczą naturalną, iż newroza i obłęd towarzyszą często geniuszowi, który sam przez się jest pełnią zdrowia i rozkwitu rasy. Społeczeństwo go wytępia i ma może słuszność, przenosząc moralność nad piękno, ale jeżeli ono otacza troskliwą opieką żubry puszczy Białowiejskiej, to czemużby nie miało otoczyć równą opieką i resztki szlachetnego ludzkiego zwierzęcia, które jeszcze uniknęły zagłady. Przyszłe szczęśliwe społeczeństwa mogłyby jeździć w święta dla oglądania ich i badowania się, a może i nauka w swej ironii użyje ich dla eksperymentów antropotechnicznych.

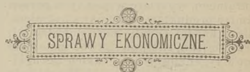
L. W.

---

[1]) Dyfferencyacya. Obie stanowią ewolucyę społeczną.

[2]) *Les evolutions sociales*, Paryż, 1896.

[3]) Ribot: *Les maladies de la volonté.*



JARMARKI

(SZKIC PORÓWNAWCZO-SOCYOLOGICZNY)

I.

Siedzimy tuż nad urwiskiem, które stromo spada ku rzece, pokryte zielonością. Przed nami rozpostarł się widok szeroki, choć nużący swoją jednostajnością. Tam, u stóp naszych, dwie wstęgi wodne łączą się nawzajem, to Oka wlewa swoje nurty do macierzy rzek rosyjskich. Za niemi ciągnie się równina, porosła trawą i sitowiem, poprzerzynana bagnami, urozmaicona tylko białemi zrębami cerkwi, które tu i owdzie sterczą. Pustka to, bez śladów wyższej kultury, jak tylko wzrok zasięgnie.

Jedynie na nieznacznym skrawku tej przestrzeni, tam, gdzie ziemia wrzyna się śpiczasto pomiędzy złączone wody, coś wyodrębnia się zpośród nieskończonej, gładkiej powierzchni. To obszar, na którym odbywa się jarmark. Z tej wysokości, z której przyglądamy się, zabudowania wyglądają na olbrzymie inspekty, zasadzone wpośrodku łąk. Słońce obrzuca rzęsistem światłem jasno-zielone i niemal płaskie dachy niskich, lecz długich budynków, i barwa ta zlewa się w harmonijną całość z kolorytem całego krajobrazu. Inspekty ciągną się długimi rzędami prostopadle do wód Oki, tak iż wzrok swobodnie ślizga się wzdłuż ulic, które, jak rowy, odgradzają jedno pasmo zielonych dachów od sąsiednich. Choć odległość zmniejszyła rozmiary, przecież ogrom przestrzeni, pokrytej budynkami, pozostawia imponujące wrażenie i całość gmachów wygląda na sporych rozmiarów miasto. Zpośród gromady zrębów wyróżniamy długi, prawidłowy czworobok, okolony kanałem — pierwotne ognisko jarmarku, zbudowane według wzorów koszarowych, gdzie rząd za rzędem ciągnie się w tej samej odległości. Lecz ulice z biegiem czasu przekroczyły wyznaczone szranki, rozsiadły się na wolnem miejscu mniej regularnie idącymi rzędami, gdzieniegdzie zaś przeszły w bezładne i rozrzucone zbiorowiska domów. Budynki dochodzą do brzegów rzeki, gdzie zamieniają się na las masztów i kominów parostatkowych, przeskoczyły nawet przez część nurtu Oki, bo usadowiły się na mieliznie, która z pod wód rzeki wydobywa się dopiero ku schyłkowi wiosny.

To martwy obraz największego jarmarku, jedynego nietylko za dni dzisiejszych, lecz także ubiegłych. Obrót pieniężny, dokonywany pod tymi zielonymi dachami w ciągu dni czterdziestu, dosięga olbrzymiej sumy pół miliona rubli, są zaś dni, gdy około setki i nawet paruset tysięcy osób tłoczy się w składach, uwija się w sklepach i błąka po ulicach.

W gwarze jarmarcznym dochodzą nas odgłosy dalekiej, nawet bardzo dalekiej przeszłości. Jarmark niżnienowogrodzki

jest w dzisiejszym ustroju ekonomicznym niby samotną skałą, sterczącą z toni morskiej: zabytek to epoki gospodarstwa naturalnego, który trzyma się jeszcze tylko dzięki pewnym szczególnym warunkom, znikającym powoli w pożerającej wszystko otchłani czasu. Odbywa się tam na wielką skalę ten sam proces, który na mniejszą możemy badać w każdej mieścinie naszego kraju. Wir wymiany codziennej, uregulowanej, podmywa wielkie zbory osób i towarów, które odbywały się parę razy w ciągu roku, a na które narody, rządzące się zasadami gospodarstwa naturalnego, wysyłały w pewnych porach nadmiar produktów. Sklepiki z nabiałem, gdzie w każdej chwili można dostać jaj, masła i mleka, zabijają nawet znaczenie targów tygodniowych, w takich zaś ogniskach ruchu, jak Londyn lub Paryż, dnie targowe należą do przeszłości, bo hale spożywcze codziennie są jednako zaopatrzone we wszelkie wiktuały. Właśnie pod wpływem takich samych czynników zniknęły z widowni dziejowej jarmarki lipskie, podupadły zjazdy łowickie—urządzenia te, właściwe uprzedniemu okresowi stosunków wymiennych i wytwórczych, giną z nastaniem stałych agentur, podróżujących komiwojażerów, z rozpowszechnieniem sieci drutów telegraficznych.

Niższy Nowogród ostał się jeszcze. Lecz nie zachował dawnej czystości zwyczajów. Wchłonął on pierwiastki późniejsze, poniekąd sprzeczne z jego duchem pierwotnym. Rysy dalekiej przeszłości splotły się tam z wymaganiami chwili teraźniejszej i wydały z takiego połączenia twór bardzo charakterystyczny.

Można tam spędzić tygodnie, a mimo to dla uważnego spostrzegacza dzień każdy będzie przynosił coś ciekawego a nauczającego. Jarmark zaś, oświetlony ze stanowiska porównawczego, rozpatrzony w rozwoju swoim i obecnych warunkach istnienia, stanowi bezwarunkowo bardzo interesującą stronicę dziejów ekonomicznych społeczeństwa.

* * *

Wzdłuż dopływów rzeki Kongo, oraz wód jej w Afryce, mieszkają ludy, wrogo usposobione nawzajem. Stosunki wymienne są tam bardzo rzadkie nietylko na zewnątrz plemienia, ale nawet w obrębie jego terytoryów. Istnieją jednak. W pewnych porach roku po wodach suną łodzie nawet z dalekich okolic, a chociaż pochodzą z obczyzny, są wówczas bezpieczne. Otacza je i ochrania opieka zwyczajów starodawnych, tak samo skuteczna, jak pokój Ś. Piotra ogłaszany w wiekach X—XIII przez sobory duchowne na czas wielkich jarmarków. Czółna zwożą na jedną z wysepek — takich zaś miejsc wymiany jest tam kilka — nadmiar produktów pewnej okolicy, który pozostał po zaspokojeniu potrzeb codziennych. Przywożone towary są to płody naturalne, dobywane w danej miejscowości, lub wyroby z nich, tak iż targ jest jakby wymianą wzajemną bogactw przyrody. Na jaw występuje tam ta prawda, że handel pierwotny jest wynikiem niejednolitego rozproszenia na powierzchni ziemi skarbów naturalnych, tj. że tkwi on nie w podziale pracy, jak w naszej epoce, ale w rozmaitości przyrodzonej. Tubylcy odbywają podróż zrzadka. Prostota potrzeb, szczególnie zaś stosunków ekonomicznych, jest tak wielka, że dokonanie wymiany raz do roku, najwyżej zaś parę razy, wystarcza zupełnie do zaopatrzenia gospodarstwa pojedyńczego we wszelkie przedmioty tam przydatne a nie wyrabiane w domu. Takich produktów jest niewiele, bo zasada wytwarzania wszystkiego na potrzeby rodziny we własnej chacie jest tam jeszcze podstawą bytu gromadnego, okazy zaś, przychodzące z zewnątrz, są sprzętami, które służą w ciągu lat wielu. Są to ozdoby, oręż, narzędzia.

Z takich zaczątków powstał jarmark nowogrodzki. Stosunki, istniejące jeszcze w porzeczu Kongo, przedstawiają poniekąd fazę ubiegłą dziejów nadwołżańskich, kiedy wdłuż arteryi głównej wód rosyjskich istniało jeszcze kilka punktów wymiennych, targi zaś miały nieznaczne rozmiary. Bo jarmark nowogrodzki, zanim usadowił się ostatecznie na skrawku ziemi, ograniczonym z jednej strony przez nurt Oki, z drugiej zaś — Wołgi, pędził żywot wędrowny, przechodząc z miejsca na miejsce, przyczem zarodki zboru giną w pomroce wieków.

Wołga, przedstawiająca jak każda rzeka jedyną drogę w tym okresie dziejowym, w którym podróżować po lądzie nie było rzeczą zbyt bezpieczną, ani dla braku gościńców nawet możliwą, oddawna zamieniła się na arteryę ruchu wymiennego. Targowiska sadowiły się tam, gdzie pod opieką ustroju państwowego istniała pewna rękojmia spokoju i całości mienia. Za czasów Chazarów jarmark mieści się na ich terytoryum, które opuszcza po pogromie tego ludu. Później rozsiadł się w obrębie państwa kazańskiego, wreszcie obrał w w. XVI miejsce pod murami klasztoru Makarowskiego, w pobliżu N. Nowogrodu. Wędruje więc coraz bardziej ku górze rzeki w miarę tego, jak środek ciężkości politycznej przechodzi do carstwa moskiewskiego. Na tym samym punkcie kończy się wędrówka drugiego jarmarku, spuszczającego się w dół Wołgi. Gdzieś w górnem porzeczu tej rzeki istniały zbory handlowe, które z kolonizacyą obszarów fińskich przez Słowian przenoszą się coraz niżej, aż wreszcie gdy cała Wołga znalazła się pod rządem władców rosyjskich, oba jarmarki zlewają się.

Wybór miejsc i rzeki, oraz pory roku, ani samo zlanie się targów pod Makarowem były nie dziełem przypadku, ale konieczności dziejowej.

Wołga była wielką, naturalną drogą, wiążącą daleką północ z okolicami południowemi: produkty Persyi, Turkestanu i nawet Indyj z jednej strony, respublik zaś północno-słowiańskich, mianowicie Pskowa i Wielkiego Nowogrodu, z drugiej spotykały się po niej już na zaraniu dziejów. Dzisiaj gdy sieć kolei rozpostarła się, straciliśmy wprost poczucie, jak doniosła była w pewnej epoce taka arterya wodna. Wołga swoim ogromem sprzyjała właśnie nawiązaniu stosunków handlowych pomiędzy dalekimi ludami, które nawet nie znały siebie nawzajem, choć już zamieniały wytwory. Gdyby nawet poziom kultury był bardzo nizki, niewykraczający po za stan barbarzyństwa, odmienność darów przyrody była tak wielka u jej obu krańców, tj. przy ujściu i w pobliżu źródeł, że zawsze musiały tam istnieć odmienne przedmioty, sprzyjające zawiązaniu stosunków wymiennych.

Targi te odbywały się podczas miesięcy letnich, mianowicie w lipcu i sierpniu. Data ta, będąca dzisiaj porą dokonywania obrotów handlowych w N. Nowogrodzie, wyłania się z mgły dziejowej wraz z wiadomością o istnieniu jarmarku. Już w r. 1257, gdy targowisko mieściło się na ziemi Tatarów kazańskich, lipiec był miesiącem spotkania się kupców różnoplemiennych. Lody, pokrywające Wołgę przez pewne pory roku, wyznaczyły czas zborów na lato.

Dopóki wzdłuż Wołgi istniało kilka niezależnych ośrodków państwowych, póty było parę targów rocznych: jeden z główniejszych usadowił się w dolnem porzeczu, drugi w górnem, pomiędzy któremi prawdopodobnie uwijało się grono pośredników. W miarę wzrostu centralizacyi politycznej zachodzi zmiana w liczebności targów, oraz położeniu ich. Aż wreszcie zlewają się one pod murami klasztoru Makarowskiego, tam gdzie spotykały się flotylle kupieckie, płynące z dołu i z góry rzeki — przestrzeń dolna była wprawdzie dłuższa, ale za to kupcy południowi mogli wcześniej wyruszać w drogę. Punkt ten, wyznaczony przez warunki topograficzne, stał się przy odpowiednich warunkach politycznych jedynem ogniskiem, które w obecnem stuleciu przeniesiono do pobliskiego N. Nowogrodu.

Wymowny to wzór rozwoju pierwotnych stosunków wymiennych, oraz czynników, pod których wpływem nastawały zmiany. W porzeczu Kongo targi są rozproszone, klimat zaś południowy umożliwia żeglugę w ciągu całego roku, tak, iż pory zborów zmieniają się z biegiem czasu w granicach bardzo szerokich. Nadto względnie gęste zaludnienie sprawia, iż ognisk handlu jest sporo, pomiędzy któremi pośredniczą handlarze: towar, przechodząc z ręki do ręki, od ujścia rzeki przedostać się może aż do jej źródeł. Tymczasem stepowy charakter obszarów nadwołżańskich nie sprzyjał takiemu rozproszeniu. Jest to może jedyna różnica pomiędzy temi tak odległemi nawzajem okolicami globu. I gdybyśmy zdołali odsłonić rąbek dalszej przeszłości, może nad Wołgą spotkalibyśmy widok pierwotniejszy, istniejący jeszcze w Afryce — „handlu niemego." O takich zwyczajach opowiadają bowiem stare kroniki. Obywatele Wielkiego Nowogrodu w ten sposób w XI w. prowadzili wymianę z Jugrami: „Jugorcy kładą na pewnem miejscu swoje towary. Przybywają potem kupcy, biorą te przedmioty, pozostawiają zaś swoje. Zdarza się często, że nie są oni zadowoleni z dokonanej zamiany!"

Jarmark dzisiejszy, dokonywający obrotów na półmiliarda rubli, powstał może z takich targów, odbywanych bez pośrednictwa mowy! Jego zaś dzieje wewnętrzne to historya handlu podczas epoki gospodarstwa naturalnego.

K. R. Ż.

POSTĘPY TECHNIKI KOLEJOWEJ.

III.

Rozwój kolei żelaznych ogarnia różne dziedziny przemysłu, handlu i wszelkich przedsiębiorstw, które dotychczas wprawdzie rozwinęły się i wzmocniły dzięki ułatwieniom komunikacyjnym, ale stały zupełnie odrębnie. Obecnie wieloramienność dróg żelaznych zaczyna niepokoić przedsiębiorców po za tą organizacyą stojących i nawet już się odezwały ich protesty. Na zjeździe przemysłowo-handlowym w Niższym Nowogrodzie przedstawiciele kupiectwa utyskiwali, że koleje żelazne stały się groźnym, zabójczym dla nich współzawodnikiem. Interesowani zaczęli jeszcze bardziej szemrać, gdy się dowiedzieli, że koleje żelazne, nie poprzestając na własnych składach zbożowych, usiłują zagarnąć biura transportowe, stacye miejskie, utrzymywanie hotelów, komunikacyj wodnych itd. Skargi te oczywiście nie będą miały ani skutku, ani znaczenia, bo trzeba przyznać, że taki wielostronny rozwój działalności kolei żelaznych służyć może z pożytkiem dla ogółu, gdyż usunie pośrednictwo i spekulacyę. Dzięki wybornej organizacyi, skupiającej w sobie wielki zasób sił i środków, każde wypływające stamtąd przedsiewzięcie musi być tanie i dobre, sprawność zaś szybsza i bardziej uproszczona, niż w rękach prywatnych. Wszystkie drobne przesyłki, uskuteczniane przez biura prywatne, idą opieszale, a co najważniejsza, pobierana bywa za nie dowolna opłata taryfowa i znaczny haracz komisyjny. Stacye miejskie kolejowe dają swoje usługi publiczności na warunkach bardzo przystęp-

nych. Po otwarciu kolejowych agentur ekspedycyjnych, załatwiających czynności celne na granicach i w portach, interesanci ponoszą prawie o połowę mniej kosztów, niż dawniej, gdy mieli do czynienia z agencyami prywatnemi.

Wielkie magazyny zbożowe dziś już prawie wszędzie przeszły pod zarząd kolei i rozwijają się pomyślniej, niż w rękach przedsiębiorców. Działalność handlowa dróg żelaznych silnie się rozwinęła, szczególnie tam, gdzie jest słaba przedsiębiorczość prywatna. Oto przykład: Jeszcze niedawno cały kraj, przez który przebiega droga Władykaukaska, był pusty i drzemiący ekonomicznie. Dopiero odnoga kolejowa do Noworosyjska rozbudziła życie. Dzięki jej zabiegom powstał port, w różnych miejscowościach biura i agencye, a prawie na każdej stacyi magazyny zbożowe, udzielające pożyczki na zastaw ziarna. Dziś cała ta okolica pod względem przemysłowo-handlowym należy do najbogatszych.

Koleje żelazne, mając olbrzymie kapitały, mogą oczywiście rozwinąć szeroko wielostronną działalność handlową, uprzystępnić nietylko przewóz, przechowywanie, ale nawet sprzedaż różnych produktów. Pod względem transportowym dają się już zauważyć znaczne udoskonalenia. Dość tylko obejrzeć wagony towarowe, przeznaczone do przewozu owoców, jaj, mięsa, mleka, nafty, olejów itd. Niektóre drogi, zasobniejsze, postarały się także o liczne składy, zabezpieczające towar od zepsucia.

Gdy ogłoszono taryfy strefowe, byliśmy pewni, że do tej kombinacyi będą także wciągnięte drogi wodne, tj. żegluga parowa. Dotychczas jednak tylko w razach wyjątkowych przy sprzedaży biletów okólnych przedsiębiorstwa żeglugi robiły ustępstwa po porozumieniu z kolejami. Z czasem jednak niewątpliwie komunikacya wodna i lądowa musi pod każdym względem stać się jednolitą organizacyą. Dziś już spostrzegamy coś podobnego na Syberyi, gdzie kolej jest budowana w ten sposób, ażeby, tymczasowo, można było korzystać na przemian z drogi rzecznej i lądowej. Mianowicie — kolej w wielu miejscach jest przedłużeniem i połączeniem wielkich szlaków wodnych. Nadto przez jezioro Bajkał na olbrzymich promach będą przewożone całe pociągi, tak, iżby po przybyciu do lądu mogły dalej potoczyć się po szynach.

Chwilę, w której zapanuje całkowicie jednolitość organizacyi przewozowej, lądowo-wodnej, można będzie nazwać ważnym i potężnym przełomem w postępach techniki komunikacyjnej.

Zen. Piet.

W DALI.

Radom. Na przystanku Łączna kolei Dąbrowskiej, gdzie się spotkały i rozbiły pociągi dn. 17 lipca r. b., znowu zdarzył się wypadek. Oto jak go opisuje korespondent *Kuryera Warsz.*: Pociąg towarowy nr. 30, składający się z parowozu i 35-ciu ładownych wagonów, dążący ze stacyi Zagnańsk do stacyi Suchedniów, wpadł na przystanek Łączna, ze znaczną szybkością, przebiegł linię ślepą, służącą do zatrzymywania się i w tym celu pokrytą piaskiem, rozbił ziemną zaporę i spadł z nasypu na pole. Lokomotywa zaryła się w ziemię, bezpośrednio za nią idące cztery wagony spiętrzyły się i rozbiły doszczętnie, dwa zaś następne uległy silnym uszkodzeniom. Maszynista Zambrzycki, prowadzący pociąg, ma zranioną głowę i stłuczony bok, obrażenia te jednak na szczęście nie są zbyt ciężkie; prócz niego nikt więcej szwanku nie poniósł. Straty kolei obliczają na sześć do ośmiu tys. rubli. Ruch pociągów nie uległ żadnej przerwie, ani opóźnieniom. Według opowiadań nacznych świadków, zachowanie się całej służby było zupełnie wzorowe, zatem przyczyny katastrofy trzeba szukać gdzieindziej: w znacznym spadku linii. Należałoby więc wybudować w tem miejscu inną, umożliwiającą zatrzymywanie się ciężkich pociągów w Łącznej. Podobno istnieje już zamiar zbudowania drugiego toru między przystankiem powyższym a Suchedniowem. Koszt budowy ma wynosić 150—180 tysięcy rubli. Ale to raczej można nazwać oszczędnością, ze względu na prawdopodobieństwo powtarzania się wypadków. Dwa poprzednie wyrządziły szkody kolei około 50,000 rs. — Magistrat miejscowy zajął się znowu sprawą budowy tramwajów w mieście.

Mińsk. Wystawa ogrodnicza, urządzona w końcu ubiegłego miesiąca, trwała sześć dni. Udział wzięli ogrodnicy i właściciele ziemscy niemal z całej gubernii. Rozdano mnóstwo nagród za warzywa i kwiaty. Pszczelnictwo tylko zajęło najpośledniejszy kącik.

Petersburg. *Birżewyja Wiedomosti* podały ważną wiadomość dla instytucyj naukowych, posiadających fundusze stypendyalne i inne w papierach publicznych. Mianowicie, ministeryum oświaty zwróciło się do rady państwa w sprawie wynagrodzenia strat w dochodach od funduszów specyalnych, skutkiem dokonanej r. 1894 konwersyi papierów 4-procentowych. Ministeryum skarbu oznaczyło kapitały, podlegające odszkodowaniu, na 7,264,050 rs., a sumę odszkodowania wraz z procentem rocznym na 884,981 rs. 78 kop., o której wypłacenie właśnie zwrócono się obecnie do rady państwa. — Poeta Jakób Połoński został członkiem rady głównego zarządu do spraw prasy. — Budżet ministeryum rolnictwa na rok przyszły już opracowano. Wszystkie wydatki obliczono na 5,293,960 rs., tj. więcej, niż w r. b. o 937,436 rs. Kredyt na melioracye rolne ma być powiększony do miliona. Na spostrzeżenia meteorologiczne postanowiono wyznaczyć 20,625 rs., na utrzymanie stacyj doświadczalnych 125,000 rs., na zapomogi towarzystwom rolniczym 95,821 rs., na poparcie różnych gałęzi rolnictwa 380,000 rs. itd.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Transwaalu wybuchła zmowa robotników miejscowych, których popiera sześć tysięcy białych.

— Postanowiono, iż o każdej osobie podczas spisu powszechnego ludności zbierane będą następujące informacye, zamieszczone w formie odpowiednich pytań na blankietach spisowych: 1) imię, imię ojca i nazwisko; 2) stan rodzinny (kawaler, panna, żonaty, mężatka, rozwiedziony); 3) stosunek do właściciela lokalu (krewny, współlokator, służący itd.) oraz wzajemny stosunek osób, mieszkających wraz z rodziną lokatora głównego; 4) płeć; 5) wiek; 6) stan lub pochodzenie; 7) wiara; 8) miejsce urodzenia; 9) miejsce stałego zamieszkania lub przesiedlenia; 10) miejsce stałego pobytu; 11) język ojczysty; 12) stopień wykształcenia; 13) zajęcie, rzemiosło, proceder; 14) ważniejsze wady fizyczne (ślepota, niemota, głucho-niemota, choroby umysłowe). Wiadomości te będą wciągnięte do blankietów, których formę już opracowano. Dla niektórych miejscowości dozwolono, obok rosyjskiego, tekst w języku miejscowym. Na przeprowadzenie spisu przeznaczono 1,530,507 rs.

— Departament kolejowy poruszył sprawę bezpłatnego przewozu ubogich ociemniałych i chorych na oczy wraz z przewodnikami, udających się po poradę lekarską.

— Przy oddziale pocztowym w Ojcowie otwarto kasę oszczędności.

Szkoły. Poruszono sprawę stworzenia instytutu wędrownych nauczycieli-techników.

— Ogólna liczba słuchaczów uniwersytetu krakowskiego w ubiegłym roku szkolnym wynosiła w półroczu zimowem 1,288, w letniem — 1,200. Profesorów łącznie z docentami i asystentami przy katedrach było 144. Zapomogę dla biblioteki uniwersyteckiej rząd podniósł o 1,200 złr. rocznie; wynosi ona obecnie 10,000 złr. Na podwórzu biblioteki stanie posąg Kopernika według projektu Cypryana Godebskiego. Koszt budowy oznaczono na 17,000 złr. Funduszów dostarczy ministeryum oświaty. W roku 1900 obchodzona będzie uroczyście 400 rocznica wszechnicy krakowskiej. Rok szkolny bieżący otwarto. Rektorem jest obecnie prof. dr. Szczęsny [illegible]

— P. Siemiradzka uzyskała zatwierdzenie ustawy kursów handlowych dla kobiet w Warszawie.

— Do szkoły handlowo-przemysłowej dyr. Rontalera w Warszawie zapisało się 370 uczniów.

— W Petersburgu otwarto szkołę średnią elektrotechniczną z funduszów Towarzystwa technicznego. Kandydatów zgłosiło się 140, przyjęto zaledwie 40.

— Dla obsadzenia katedry nauk zoologicznych w nowoaleksandryjskim instytucie rolniczo-leśnym ogłoszono konkurs, którego termin upływa 27 listopada r. b.

— W uniwersytecie lwowskim na wydziałach lekarskim i filozoficznym przybyło sześciu nowych profesorów. Ogółem cała wszechnica liczy ich 75. Biblioteka uniwersytecka wzrosła o 4,092 tomów; liczy obecnie 134,968 tomów.

— Szkoły gospodarstwa wiejskiego dla kobiet powstaną wkrótce w Niemczech.

— Budżet ministeryum oświaty obliczono na rok 1897 w sumie 26,501,341 rs., tj. o 1,638,280 rs. więcej, niż w r. z. Zapomogi dla szkół elementarnych w okręgu warszawskim powiększono o 61,782 rs. Udzielono 30,000 rs. na urządzenie folwarku przy Instytucie w Nowej Aleksandryi; 80,557 na jego potrzeby budowlane. Zamierzona jest budowa dziewięciu szkół techniczno-przemysłowych.

Sądy. Na ławie oskarżonych w Warszawie zasiedli małżonkowie Tomasz i Józefa Wiśniewscy, mieszkańcy Łowicza, pod zarzutem systematycznego znęcania się nad dwojgiem swych dzieci nieletnich. Macocha morzyła je głodem, zamykała zimą w izbie wcale nieopalanej, w jednych tylko koszulach, biła je tak, że ciała pokryte były sińcami i ranami. Dzieci codziennie czołgały się od drzwi do drzwi sąsiadów, błagając o kawałek chleba. Świadkowie zeznali, iż te nieszczęśliwe, zgłodniałe istoty często zbierały z podwórza pomiot karzy i inne obrzydliwości, gdy tymczasem rodzice żyli dostatnio, codzień mieli mięso, piwo i herbatę. Śledztwo wyjaśniło, iż macocha karmiła dzieci raz na parę dni surową kaszą na wodzie bez okrasy. Chłopiec półtoraletni zmarł z wycieńczenia głodowego. Macochę, przy uwzględnieniu Najwyższego Manifestu, sąd skazał na rok więzienia, a następnie na czteroletni dozór policyjny, po pozbawieniu praw i przywilejów.

— *Warsz. Dn.* donosi, iż dn. 19 b. m. w II wydziale kryminalnym sądu okręgowego warszawskiego przy zamkniętych drzwiach będzie sądzona sprawa dziewięciu kobiet, oskarżonych o przestępstwa przewidziane w art. 1,462 i 1,462. Miejscem przestępnej ich działalności była Warszawa, a wytoczona sprawa przy prowadzeniu śledztwa dała podstawę do wytoczenia drugiej takiejże sprawy przeciwko lekarzowi Julianowi Zejdowskiemu, który zasiądzie na ławie oskarżonych 13 listopada. Obrońcą jego jest adw. przys. Pepłowski.

Zdrowie publiczne. Na utrzymanie wydziałów lekarskiego i weterynaryjnego ministeryum spraw wewnętrznych zażądało kredytu w sumie 2,758,129 rs.

— W Kalkucie zdarzyły się lekkie wypadki dżumy.

Koleje i komunikacye. Przedsiębiorcy budowlani wystąpili do kolei Wiedeńskiej z żądaniem powiększenia personelu służby na stacyi towarowej, gdzie skutkiem niedostatecznej liczby pracowników odbieranie towaru jest wielce utrudnione.

— Rozkład zimowy pociągów będzie wprowadzony jednocześnie na wszystkich kolejach d. 27 października.

— Pruskie ministeryum robót publicznych uznało za nieodzowny kanał, który połączy Odrę z Wartą. Dzieło to będzie miało doniosłe znaczenie dla melioracyi kraju.

— Ministeryum komunikacyi od 13 stycznia 1897 r. powiększy liczbę urzędników w wydziałach handlowych kolei skarbowych.

— Ministeryum komunikacyi opracowywa przepisy unormowania pracy obsługi pociągowej w celu usunięcia przeciążenia, które, jak już nieraz stwierdzono, bywa przyczyną wypadków.

Wystawy i zjazdy. D. 9 grudnia r. b. odbędzie się w Warszawie IV zjazd górniczy, na którym między innemi roztrząsane będą następujące kwestye: O środkach rozwoju produkcyi rudy żelaznej w Królestwie Polskiem; O ułatwieniu rozwoju przemysłu

węglowego w Królestwie; O utworzeniu w I-ym i III-im okręgu Królestwa Polskiego jednej wspólnej kasy emerytalnej dla wszystkich kopalni i zakładów górniczych.

— W Brukseli na rok przyszły zapowiedziano wystawę przemysłu sztuki.

— Wystawę w Niższym Nowogrodzie zamknięto 13 b. m.

— W Płocku odbyła się druga wystawa inwentarza.

Wypadki. W Kobryniu zgorzało 25 domów; sto rodzin pozostało bez dachu.

— Pod Taganrogiem rozbił się pociąg. Są ofiary w ludziach.

— Zgorzały Szczurowice, miasteczko w powiecie Brodzkim (Galicya). Spłonęło 118 domów. Szkody wynoszą 300,000 złr.

— W ostach dniach Amerykę nawiedziły liczne katastrofy. W Buluwajo (kraj Matabele) wyleciała w powietrze prochownia, przyczem pięciu białych i dwudziestu Kafrów postradało życie. Liczba rannych jest znacznie większa; szpital nie wystarczył na ich pomieszczenie, musiano tedy zamienić więzienie na infirmeryę. Wszystkie domy dokoła prochowni uległy uszkodzeniu; miejsce, gdzie wznosiła się prochownia, przedstawia obraz strasznego spustoszenia. — Na wyspie Haiti ogień zniszczył część portu Jacmel. Pożar wybuchł d. 19 września i pomimo wysiłków wielkich trwał dod. 22. Strawił wszystkie domy i magazyny, znajdujące się między górą a morzem. Szkody obliczono na 25 milionów fr., śród ludności panuje straszna nędza. — Gwałtowny pożar również nawiedził miasto Guyaquil, w Limie. Zgorzały dziesiątki domów, a między nimi cztery banki, wszystkie konsulaty, hotele z wyjątkiem jednego, dwa kościoły, wszystkie większe domy handlowe, a nadto koszary i arsenał.

Zmarli. Antoni Bruckner; kompozytor muzyczny, w Wiedniu.

— Ludwik Lenz, komedyopisarz i dziennikarz niemiecki, w Berlinie.

— Franciszek Martynowski, literat, archeolog, w Częstochowie. Oprócz licznych artykułów, rozproszonych w różnych pismach, napisał i wydał osobno broszurę p. t. „Na przełomie sztuki polskiej.“

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 Октября 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.